Nr 40 (1550). Warszawa, 1 października 1910 r. Rok XXX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 8. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 4-ty kwart.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Słowa prawdy.

Przed pięciu laty ogół polski dzielił się jakoby na dwa wielkie obozy: „socjalistyczny" i zachowawczy. Był moment, kiedy napozór nietylko lud roboczy, ale i cała bez wyjątku inteligiencja, tudzież pewna część burżuazji — stanęły pod znakiem Marksa.

Oczywiście, było tu wiele owczego popędu, wiele bezkrytycznych uniesień i wiele nieporozumień. Ani rozwój ekonomiczny, ani budowa społeczna naszego kraju nie uprawnia tak paradoksalnej przewagi prądów skrajnych, jakiej nigdzie na świecie nie widziano, nawet w krajach ultra-przemysłowych, jak St. Zjednoczone, Anglja i Niemcy.

Było to poprostu złudzenie faktyczne, wywołane potworną anomalją stosunków prawno-politycznych w Rosji. Trwać ono długo nie mogło — i oto rozwiewa się i niknie. Składać tego zaniku na karb represji policyjnych niepodobna. Bowiem przeciwnie, nic tak nie wygórowało „socjalizmu" w naszym kraju, jak właśnie srogi i ślepy rygor policyjny, który otoczył go — i otacza dotąd — jaskrawym nimbem bohaterstwa i tajemnicy. Jeśli, mimo opłakanych błędów, jakie popełniał od początku swego powstania, socjalizm polski cieszył się przez długi czas popularnością — to zawdzięcza ją nie sobie, lecz specyficznym rosyjskim warunkom.

Jeśli zaś — jak to ma miejsce obecnie — traci wśród ogółu resztki sympatji i pobłażania, mimo wspomnianych warunków, które wszak zmieniły się chyba na gorsze — to już zawdzięcza tylko sobie. Żywioły, o których mowa, lubią powoływać się — gdy argumentów nie stanie — na ilość dni i godzin, spędzonych w zamknięciu. Jest to wszakże motyw liryczny, który nic niema wspólnego z objektywną zasługą i krytyczną oceną faktów. Powtarzany ustawicznie z towarzyszeniem złorzeczeń i klątw pod adresem innych zespołów — staje się niesmaczną *komedją*, której kres należy położyć.

* * *

Teorja i taktyka naszych „socjalistów" były przez długi czas nietykalne; wyrosły i krzewiły się w podziemiach konspiracji. Lada świstek bezwartościowej zgoła propagandy czczono, jako świętość, bo to było — nielegalne. I z tego nawskroś uczuciowego, napoły dziecinnego kultu, któremu z zapałem oddawało się... mieszczaństwo, wyrosła *niedorzeczna legienda* o niepokalnym poczęciu stronnictw skrajnych i nieomylności papieży socjalizmu. Przewróciło to w głowie części młodzieży, bezwątpienia zacnej, ale roszczącej sobie nadmierne, śmieszne, wygórowane prerogatywy w dziedzinie spraw doniosłych, do których nie dorosła wówczas, a i po dziś dzień nie dorasta.

Przeszło kilka lat. Taktyka socjalizmu — zwłaszcza w jego nieprzejednanej formie — zdążyła odstręczyć od siebie najbardziej ufnych sympatyków; co do teorji — przestała ona być TABU, odkąd wyległa na szpalty *legalnych tygodników* — i dyskredytuje się sama z dostateczną szybkością.

Ale zastarzały nałóg nie zanika tak szybko. Nieprzejednani nasi „marksiści" przyzwyczaili się do tego, że *nie krytykowano ich wcale*, albo też krytykowano z nieodpowiedniej strony — ze sfer zachowawczej i wstecznej prawicy.

Dziś uderza w nich wolnomyślna i postępowa krytyka, pospołu z rewizjonizmem, odpowiadając legalną obroną na ich *legalne napaści*. Ale zadawniony nałóg nieodpowiedzialności nie chce słyszeć o walce równą bronią i co chwila robi komedjancki apel do „mas ludowych”...

„Dziś — woła płaksiwie publicysta *Młota* — scena jawnego działania politycznego bardzo się zwęziła; może się na niej pomieścić obok reakcji endeckiej i klerykalnej, kilkudziesięciogłowe stadko reakcji „postępowej”, ale masa ludowa musi zostawać za sceną”. I dobrze robi — powiedzmy — bo się wraz z wami nie dyskredytuje w niechlubnych igraszkach polemicznych. Zostawmy tedy lud „za sceną”; na scenie jest w tej chwili — obok trzech wymienionych — wasza *legalna opinja*, która zdążyła już postokroć użyć — i nadużyć — „konstytucyjnej” wolności słowa.

W stosunku do tej legalnej opinji ustały przywileje, ustały względy, ustaje pobłażanie. Nie mamy zamiaru tolerować dłużej bezdennych bredni, narzucanych ogółowi polskiemu przez grono „nieprzejednanych”, szwankujących na umyśle i charakterze. Dziś motyw „uciśnionego apostolstwa” nie skutkuje, odkąd p. Warski, ze swą legalną „maczugą”, miast uczuć apostolskich, ujawnia zdziczały kabotynizm i bezmierną arogancję.

* * *

I nie pomogą tu ciągłe powoływania się na to, co było przed pięciu laty. Raczej przeciwnie. Bowiem przed pięciu laty był szereg śmiertelnych błędów, które czas już wykryć, stwierdzić, posegregować i ku przestrodze przyszłych pokoleń umieścić za witryną z napisem: *Jak się rewolucji robić nie powinno.*

Rok 1905 ze swym fatalnym nierozróżnianiem przewrotu politycznego i rewolucji socjalnej, ze swym teoretycznym maksymalizmem, orgją strajków i wywłaszczeń, ze swą hegiemonją żywiołów niedorozwiniętych i histerycznych — może imponować tylko ludziom, chorobliwie uczuciowym i pozbawionym doszczętnie zmysłu politycznego.

Ludzie krytyczni i politycznie dojrzali, składając cześć należną ogromowi poniesionych ofiar i wykazanego męstwa — traktują ten rok jako kampanję w zarodku chybioną i zwichniętą tudzież jako eksperyment wielkiej wagi.

Zatym żywioły, które się tą chwilą zbyt lekkomyślnie reklamują, winny nareszcie pojąć, że na *reminiscencjach* nic zyskać nie mogą, a wiele stracić...

Nic łatwiejszego w podobnym wypadku, jak rzucić nam na głowy okrzyk: *reakcja!* i odejść.

Tym słowem tylekroć i tak bezmyślnie szafowano, że straciło wartość oceny, zwłaszcza w ustach osób, które same się przyczyniły do wzbudzenia istotnej reakcji przeciw sobie nietylko w innych klasach społeczeństwa, ale i wśród ludu, wśród robotników, którzy w karygodnej licytacji haseł miotani od partji do partji, od frakcji do frakcji, od sekty do sekty — przystali w końcu do oo. Redemptorystów.

W tych warunkach powyższe *verba veritatis* z naszej strony nie są reakcją, lecz zrozumieniem i krytyką błędów, których jedni się wypierają, a drudzy nie mają odwagi nazwać po imieniu.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W tych dniach na widowni międzynarodowej zaszedł fakt wielkiej wagi, a mianowicie pośrednie przystąpienie Turcji do Trójprzymierza, przez co stan rzeczy na Bałkanach uległ zasadniczej zmianie.

Inicjatorem i wykonawcą całego manewru jest znów hr. Aehrenthal, który, należy to przyznać, wznawia najświetniejsze czasy habsburskiej dyplomacji. Austro-węgierski minister spraw zagranicznych, ironicznie „małym Bismarkiem” ochrzczony, uczynił z Turcją to samo, co „żelazny książe” uczynił z Austrją po bitwie pod Sadową...

Aneksja Bośni i Hercegowiny, żłobiąc głęboki

2)

B. LEŚMIAN.

Znaczenie pośrednictwa w metafizyce życia zbiorowego.

(Ciąg dalszy).

Nie powinniśmy mieszać czasu zwolnionego lub powstrzymanego z *myśleniem w czasie rozszerzonym.*

Pomimo, iż myśl ludzka, myśl twórcza jest zależna od warunków, które dla niej tworzy *natura naturata*, wszakże stosunek tej myśli do *natura naturata* nie jest stosunkiem skutku do przyczyny lub odwrotnie. Możemy go raczej porównać ze stosunkiem dzieła do pobudek twórczych, które to dzieło z duszy artysty wywołały. Pobudką do stworzenia słonecznego pejzażu — mogło być nagłe światło lampy, wniesionej przez kogoś do ciemnego pokoju, w którym siedział zadumany artysta. Pobudką do myślenia w rozszerzonym czasie — mogło być właśnie oglądanie zjawiska czasu zwolnionego i powstrzymanego.

Zależność jednostki twórczej od warunków życia społecznego jest bardziej tajemnicza i mniej wyjaśniona, niż t. z. przyczynowość, która właściwie bada nie tyle *stosunek twórczy* jednego zjawiska do drugiego, ile ich hierarchję, ich następczość w czasie i przestrzeni, to znaczy — czas i przestrzeń, w których dane zjawiska nastąpiły.

Współczesność, równoległość zjawisk każe nam uciekać się do szukania jeszcze innej, poprzedzającej je przyczyny, zamiast zastanowić się nad możliwie odrębnym stosunkiem tych zjawisk. Przesąd, dzięki któremu zjawisko wcześniejsze t. z. przyczyna budzi w nas większy szacunek, aniżeli późniejsze t. z. skutek — pokrewny jest uzmysłowionej logice religijnej: wierze w przodków, którzy w hierarchji czasowej zajmują poważniejsze i bardziej boskie od nas — potomków — stanowisko. Zmuszeni myśleć w czasie i przestrzeni, nadużywamy tak jednego, jak drugiej. Analizując dokładnie naszą moralność, obyczaj, stosunki towarzyskie, całą wreszcie heraldyczną część życia społecznego, znaleźlibyśmy z pewnością na dnie tych dogmatów „święte” poczucie czasu, które z koniecznego warunku naszego myślenia przetworzyło się w probierz wartości życiowych. Fakt, iż formy myślenia

antagonizm pomiędzy monarchją ottomańską a blokiem giermańskim, zdawała się rzucać Turcję w objęcia Anglji i Francji. Stało się jednak inaczej.

Podobnie jak przed czterdziestu kilku laty Bismark wyzyskał zręcznie politykę włoską Napoleona III, aby wprzęgnąć Austrję do swego rydwanu, tak i teraz p. von Aehrenthal skorzystał z wichrzeń bułgarsko-greckich, aby zbitą z tropu dyplomację turecką ku sobie przyciągnąć, każąc jej zapomnieć o zabranym kraju. Ponieważ jednak otwarte przystąpienie Turcji do Trójprzymierza zmieniłoby równowagę europejską zbyt gwałtownie, jako akt nieprzyjazny względem Trójporozumienia, przeto zachowano niezbędne *decorum*, wysuwając naprzód Rumunję w roli uczynnej pośredniczki. Urzędownie tedy jest mowa o konwencji wojskowej rumnńsko-tureckiej na wypadek wojny z Bułgarją...

Ze swej jednak strony Rumunja związała się z Habsburgami umową tajną co do wspólnego działania, o czym oficjalna dyplomacja może nie wiedzieć, ponieważ rokowania wiedli osobiście i dyskretnie dwaj zainteresowani władcy: król rumuński Karol i cesarz Franciszek Józef. Tym się tłumaczy, że wieść o mającym powstać *poczwórnym przymierzu* spotyka urzędowe zaprzeczenia ze strony austro-niemieckich organów.

Ciekawą jest tu jeszcze jedna okoliczność: Włochy zdają się istotnie nic nie wiedzieć o tym arcyważnym fakcie, jakkolwiek udział ich w Trójprzymierzu kazałby się spodziewać większego uświadomienia we wspólnych interesach. Opinja włoska burzy się, widząc w tym lekceważenie ze strony dwuch głównych komparsów Trójprzymierza... Okazuje się jednak, że izolacja Włoch w tym wypadku nie była ani aktem woli, ani dziełem przypadku.

Rząd włoski liczy się poważnie z możliwością wyjścia z Trójprzymierza i sojuszu z Francją; zwłaszcza chodzi mu o politykę wolnej ręki na Bałkanach i na Adrjatyku. Rosnąca niechęć Włoch do Austrji każe się spodziewać w niedługim czasie otwartego zerwania. To też, pomimo krążących pogłosek o przedłużeniu Trójprzymierza do r. 1920, nienaturalny ten sojusz zdaje się dogorywać.

W lecie t. r. margr. di San Siuliano, włoski minister spraw zagranicznych, podczas wizyty w Salzburgu wyraził swemu austrjackiemu koledze niedwuznaczną chęć ze strony rządu włoskiego rozluźnienia więzów pomiędzy Burgiem a Kwirynałem. Von Aehrenthal wziął te słowa pod uwagę — i oto dlaczego świeża umowa turecko-rumuńsko-austrjacka jest obecnie dla Włoch sensacyjną niespodzianką.

* *
*

Zjazd socjalistów niemieckich w Magdeburgu doprowadził po części do rozłamu pomiędzy pruskimi ortodoksami, a południowo-niemieckim rewizjonizmem. Kością niezgody, jak przewidywano, była taktyka socjalistów badeńskich, którzy, głosując za radykalnym budżetem wbrew zachowawczej części sejmu, uratowali postępowe ministerjum Bodmana. Owo zwycięztwo ściągnęło na ich głowy niezadowolenie pruskich ortodoksów, którzy zapowiedzieli walną rozprawę z badeńską herezją w Magdeburgu.

Wybuchła tedy wojna Północy z Południem.

Socjalista badeński, dr. Frank, odpowiadając Beblowi, usprawiedliwiał temi słowy złamanie zapowiedzi dogmatycznej na rzecz realnej korzyści warstw pracujących: „Dzięki naszej taktyce osiągnęliśmy znaczne korzyści dla robotników, które byłyby przepadły, gdybyśmy byli stali na waszym nieprzejednanie negatywnym stanowisku. Jeżeli zwalczacie budżety obecnych państw, powinniście tak samo sprzeciwiać się wszelkim innym ustawom, uchwalanym w tych państwach, a z tego wyniknęłaby ta jedynie konsekwencja, że wogóle w prawodawstwie państw klasowych nie powinniśmy brać udziału, a więc wogóle stronić od parlamentów”.

Niepodobna było trafniej potępić obecnej niedorzecznej taktyki ortodoksów, którzy, tworząc parlamentarną partję *bez parlamentarnej polityki*, nie wyszli jeszcze z fazy przedwstępnych, embrjonalnych metod.

Na 388 obecnych 266 przedstawicieli Północy opowiedziało się za wnioskiem Bebla, potępiającym głosowanie badeńskie, zaś 228 przyjęło dodatek, grożący wykluczeniem z partji tego rodzaju heretykom. Obrażeni tym południowcy w liczbie 70 opuścili salę obrad, zapowiadając, że się tym drakońskim wyrokom nie poddadzą... Naogół liczyć można, że 33% socjalistów niemieckich skłania się do rewizjonizmu i co za tym idzie, *czynnej polityki opozycyjnej* w sojuszu z demokracją mieszczańską.

---

stały się też dobytkiem naszej świadomości i że zdolni jesteśmy pomyśleć nie tylko dany przedmiot, lecz i samo myślenie, oglądaniu tego przedmiotu towarzyszące, fakt ten pozwala nam przypuścić, iż — oglądane świadomością—formy naszego myślenia, na równi z przedmiotami, tak samo, jak i one przez nas pomyślanymi,— są wciąż jeszcze zjawiskiem przestrzennym i czasowym. Zamiast więc mówić, iż myślimy w przestrzeni i czasie, możemy wprost powiedzieć, że myśl nasza jest zjawiskiem czasowym i przestrzennym. Jako jedno ze zjawisk poszczególnych stwierdza ono przedewszystkim — siebie samą i nie może swej formy narzucać całemu światu, jako kategorji powszechnej.

Jedna z tych form naszego myślenia, mianowicie przyczynowość jest też zjawiskiem poszczególnym, którego czynność i wpływy są ograniczone zakresem tego terytorjum, na którym spostrzegliśmy i stwierdzili owo zjawisko.

Jako zjawisko postrzeżone i stwierdzone, to znaczy już stworzone, należy ono całkowicie do dziedziny *naturae naturatae* i, zamknięta w jej granicach, nie określa zgoła stosunku pomiędzy tą ostatnią a *natura naturans*, nie stanowi łańcucha, przerzuconego z jednej dziedziny do drugiej. Wszystkie ogniwa tego łańcucha mieszczą się najzupełniej w obrębie *naturae naturatae*, jako jedno ze zjawisk poszczególnych, podniesionych w celach, o których niżej powiemy, do znaczenia *prawa*, czyli zjawiska, powstrzymanego w czasie i przestrzeni.

Ów łańcuch przyczynowy, spożytkowany przez *natura naturata*, ma do spełnienia inne zgoła, przeciwne niemal zadanie.

Wpływ przyczyny na skutek oraz zgodna z charakterem *naturae naturatae* i jej dążeniem do utrwalenia swych praw możność przewidywania w *przybliżeniu* wyczekiwanych skutków tłumaczy się tym, że przyczyna imanentnie i przynajmniej częściowo przebywa w swym skutku. Czyli, mówiąc inaczej, przyczyna nakłada pewne pęta na twórczość, której źródła mogą się poza wszelką przyczynowością ukrywać, oraz nie dopuszcza do tego, ażeby skutek był *zupełną* dla naszego myślenia niespodzianką.

Pomimo to wszakże, dzięki niepowstrzymanemu, twórczemu „potokowi istnienia, skutki nie są zupełnie podobne do przyczyn i wnoszą zawsze „coś nowego”, „coś nieprzewidzianego”. Możemy powiedzieć, iż — skutek = przyczynie z dodatkiem pewnego X, w przyczynie nie zawartego.

Przewidujemy tylko tę cząstkę skutku, która jest właściwie skrycie lub jawnie przebywającą w nim przyczyną. Lecz dodatek X — wymyka się naszym przewidywaniom, to znaczy naszej przyczynowej for-

Kwestja tego sojuszu jest najważniejszym zagadnieniem polityki wewnętrznej Niemiec. Dotąd rozwiązywano ją szablonowo i błędnie, dzięki rozpanoszeniu się bezmyślnej ortodoksji, która z Berlina przewodziła całym ruchem ludowym. Ortodoksja chce zwalić junkierską feodalną monarchję za jednym zamachem razem z ustrojem „burżuazyjnym", wskutek tej niedorzecznej taktyki, junkierska feodalna monarchja czuje się wcale dobrze, zaś burżuazyjna demokracja, słysząc ustawiczne groźby za plecami, czując się między młotem reakcji, a kowadłem czerwonej rewolucji — zatraca w sobie pierwiastki wolnościowe i ewolucyjne, które w interesie rozwoju Niemiec należało oszczędzać, wznowić i zużytkować.

Nadto zauważyć się godzi, że tam, gdzie burżuazja istotnie panuje t. j. w Niemczech Południowych, stosunki są znośne, zbliżone do typu demokracji zachodnich; tam też główne sobie siedlisko obrał rewizjonizm niemecki. Natomiast na Północy, w Prusach, gdzie faktycznie rządzi junkier-biurokrata, lęgnie się ortodoksja nieprzejednana, brutalnie odrzucająca współdziałanie z postępem mieszczańskim i, co za tym idzie, utrwalająca mimowoli reakcję pruską w społecznych jej podstawach.

Przewaga prądów nieprzejednanych nic dobrego nie rokuje przyszłości Niemiec.

Choćby nawet w następnych wyborach socjaldemokracja zyskała 100 proc., czyniąc się najsilniejszą partją w parlamencie — nie zmieni to nic w panujących stosunkach. Jedynie wyraźne oddzielenie haseł politycznych (*walka z absolutyzmem*) od haseł społecznych (*kolektywizm*), jedynie blok ze stronnictwem postępu mieszczańskiego i zużytkowanie twórczej siły, ukrytej w mieszczaństwie, którą ortodoksi niesłusznie i karygodnie lekceważą — słowem, zupełna zmiana metod, dziś przeważających, dokonać może w Niemczech niezbędnego i arcyważnego aktu *emancypacji politycznej.*

Dopóki to nie nastąpi, partja robotnicza Niemiec, zamiast polityki czynnej i płodnej w następstwa, uprawiać może tylko propagandę jałową i bierną.

Autonomje administracyjne.

W okresie nadziei i złudzeń wolnościowych jednym z postulatów konstytucyjnych była autonomja różnych dzielnic państwa. Wszystkie złudzenia i nadzieje pierzchły, nadszedł długi i ciężki okres „uspakajania", po nim nie nastąpił okres obiecanych reform, ale zato przyszły autonomje... administracyjne, i to bardzo szerokie i silne. Okres „uspakajania" wymagał decentralizacji władz i oto powstały autonomje: Tołmaczowa, Gorczakowa, Dumbadze (zwanego przez prasę rosyjską chanem krymskim) i wiele innych. Owi administratorowie rozległych dzielnic mają władzę nieograniczoną, są prawodawcami i praworburcami, t. j. mogą za pomocą własnych przepisów i rozporządzeń znosić prawa zasadnicze, trzymać w wiecznej grozie i zależności ludność, rozporządzać jej losami i t. d. Wielką sławę w tej mierze zdobył Tołmaczow w Odesie, który w chwili obecnej stał się bardzo głośnym z powodu dżumy, cholery, wyborów posła do Dumy i — „606!" Najnowszy wynalazek d-ra Ehrlicha nazwał on szarlatańskim pomysłem zagranicznym i zabronił stosowania go tym lekarzom, którzy posunęli swoją lojalność i służalczość do tego, że prosili owego administratora o pozwolenie!

Nabrały również wielkiego rozgłosu utarczki Tołmaczowa z lekarzami o sposób walki z dżumą i cholerą. Walki te i nieporozumienia trwają w dalszym ciągu, a tymczasem epidemje nie ustają, gdyż zarówno obywatele jak i lekarze są skrępowani w zwalczaniu zarazy. Zresztą kwestja walki z dżumą i cholerą zeszła na plan ostatni z powodu walki o posła do Dumy. Tutaj już pomysłowość p. Tołmaczowa przeszła wszelkie oczekiwania. Na 2,500 osób, mających prawo do wyborów w pierwszej kurji, policja doręczyła awizacje tylko 1,400 wyborcom. Przeszło dwie piąte wyborców usunięto za pomocą „wyjaśnień", w tej liczbie przeważnie żydów. Głównym pretekstem były imiona. Prócz tego działano innymi sposobami: żądano pasportów, usuwano tych, którzy opłacili świadectwa gildyjne zapóźno; obiecywano umorzenie kar tym, którzy głosować będą za prawicowcem. Wreszcie obiecywano im nawet... zwalczenie cholery i dżumy. Gazetom postępowym zabroniono agitowania na rzecz d-ra Czauszańskiego. Pomimo to zwyciężył on jako kandydat opozycyjny. Ze względu wszakże, iż nie dostał absolutnej większości głosów,

---

mie myślenia. Przewidywanie więc nasze jest pozorne: stwierdza ono podobieństwa, lecz nie ujmuje a priori różnic.

Dodatek X nie jest więc pochodny od przyczyny, pomimo, iż ta ostatnia towarzyszy zjawieniu się jego skądinąd. Przyczepia go — pęta, uzasadnia, powściąga, nawiązuje go, jako ogniwo, do reszty już stworzonych i uznanych ogniw ogólnego łańcucha przyczyn i skutków, ale go nie — *tworzy.* Raczej przetwarza go z *natura naturans* w *natura naturata,* nadając mu w tej ostatniej racją bytu i prawo obywatelstwa.

Pomiędzy przyczyną a skutkiem istnieje właśnie stosunek antagonizmu, który w życiu społecznym obrazuje się jako antagonizm pomiędzy starym a młodym pokoleniem, pomiędzy prawem już martwym a nowymi wymogami życia.

Zadanie konserwatywne prawa przyczynowości polega właśnie na przesiewaniu, przebieraniu zmiennych zjawisk *naturae naturantis* i na dopuszczaniu tych tylko, które mogą z dawnymi, już uznanymi zespolić się w jedną, nieprzerwalną całość i trwać *wspólnie,* we współżyciu z nimi, w powstrzymanym lub zwolnionym czasie, którego wymaga wszelkie współżycie — wszelkie współczesne i współprzestrzenne trwanie.

Tak rozumiany konserwatyzm ma swoją, nieodpartą rację bytu.

Zaznaczymy tu wszakże mimochodem, dla uniknięcia możliwych i łatwych w danym razie nieporozumień, że t. z. racja bytu nie stanowi wartości zjawiska, przez duszę ludzką ujętego.

Rację bytu ma niezaprzeczenie i wszelka nędza i epidemja i niedoskonałość samego istnienia w obrębie *naturae naturatae.*

Twórczość więc życia zbiorowego, które, zwalniając lub powstrzymując czas, tworzy *wtórą rzeczywistość* praw stałych i niezmiennych, twórczość ta znajduje się w stosunku wrogim, krytycznym i przeciwdziałającym do wiecznie zmiennej *natura naturans.* Pomimo wzajemnej zależności tych dwuch dziedzin nie możemy ich stosunku nazwać przyczynowym. Nie powinniśmy też mieszać rzeczywistości, wytworzonej przez *natura naturata,* z rzeczywistością *naturae naturantis.*

Mylnym jest przekonanie, przypisujące wyłącznie życiu zbiorowemu instynkty i dążenia gatunkowe, jakgdyby jednostki twórczej nie łączyły z gatunkiem żadne nici pokrewieństwa.

wybory unieważniono. Podczas, gdy w niesłychany sposób steroryzowano żywioły opozycyjne, sojusznicy mieli bezwzględną swobodę agitacji przy silnym poparciu władzy. Dla zorganizowania ponownej walki wyborczej przyjechał do Odesy sławny reżyser skandalów i gwałtów — Puryszkiewicz.

Znaczny rozgłos zdobył sobie ks. Gorczakow, gubernator kałuski, nazwany w prasie rosyjskiej byłym wojewodą wiackim. Jest on zaciętym wrogiem wszelkiego samorządu oprócz autonomji... administracyjnej i nawet stanowczo utrzymuje, że wogóle samorząd nie istnieje i oczywiście ma rację, bo gdzie istnieją administratorowie o tak szerokich zakresach silnej władzy, tam wszelkie samorządy są tylko w teorji. „Przepisy, dotyczące miasta, nie mówią nigdzie o *samorządzie*, lecz tylko o *rządzie*" — orzekł p. Gorczakow i na tej podstawie zażądał, ażeby wszelkie sprawy, wchodzące w zakres kompetencji miasta, a sprzeczne z poglądami administracji, były przekazywane do uznania gubernatora, zamiast do roztrząsania w „dumie" miejskiej. Niedawno wielką sensację wywołała podróż „samowładcy" kałuskiego „po gubernji", szczególnie zaś odwiedzenie miasta powiatowego, Tichwina, w którym dygnitarzowi sprawiono takie przyjęcie, jakie tylko się sprawia koronowanym władcom kraju. Uroczystość tę szczegółowo opisały miejscowe *Gubernskija Wiedomosti.* Na przyjęcie gościa zbudowano łuki tryumfalne, przybrane w zieleń, flagi i lampiony. Powiatowy marszałek szlachty, Popow, urządził przyjęcie z przepychem: szereg bankietów z muzyką i fajerwerkami oraz popisy „pułków uciesznych" z malców miejskich. Byli oni sprezentowani gubernatorowi na placu wraz z policją. Wspaniałe przyjęcie z dekoracją mostu i iluminacją urządzili urzędnicy ziemstwa powiatowego. Po tej „rewizji" gubernator — książę za pośrednictwem *Gubern. Wied.* wyraził podziękowanie biurokracji m. Tichwina.

To obrazek w słońcu. Są wszakże i obrazki, malowane w cieniu, na tle autonomji zauralskich. Do takich należą obrazy ze stosunków przesiedleńczych i wygnańczych. Położenie wychodźtwa syberyjskiego jest okropne. Znaczna większość, po przejściu najuciążliwszych formalności biurokratycznych komisji przesiedleńczej i po doznaniu dotkliwych zawodów na miejscu kolonizacji, wraca do stron rodzinnych o chlebie żebraczym, a na dawnej ojcowiznie niema już miejsca dla tych wychodźców powracających, bo grunt i dobytek sprzedali innym. W ten sposób rosną z dniem każdym tysiące proletarjatu wiejskiego.

Ponura jest dola skazańców, którymi ogół syty coraz mniej się interesuje, coraz mniej o nich się troszczy. Wygnańcy uskarżają się na swoją dolę w listach, pisanych do dzienników rosyjskich. Między innymi w tych dniach zamieściły *Kijewskija Wiesti* taki list wygnańca, opisującego ciężkie położenie skazanych na osiedlenie w gub. Tobolskiej w pow. Berezowskim. Położenie materjalne tych ludzi wprost jest rozpaczliwe. Około 80 — 85 proc. wygnańców stanowią robotnicy, włościanie, rzemieślnicy i inni, którzy nic nie otrzymują z domu, bo sami byli żywicielami tych rodzin, które pozostały w kraju bez środków do życia. Całym utrzymaniem tych ludzi jest zapomoga skarbowa, wynosząca 5 rb. 10 kop., którą niedawno podniesiono do 7-miu rb. Z tych pieniędzy idzie 2 — 3 rb. na mieszkanie, wysoce niehygieniczne i zimne, pomimo opalenia. Pozostaje więc 4 rb. (dawniej 2 — $2^1/_2$) na utrzymanie, t. j. na wyżywienie, tytuń, pranie bielizny, łaźnię i wydatki pocztowe. Jest to nie życie, ale ciągła wyczerpująca walka z głodem zabójczym. Mięso lichego gatunku kosztuje tam 4 rb. pud, o które zresztą bardzo jest trudno. Pud mąki żytniej, którą również trudno dostać, kosztuje 1 rb. 30 k. a w grudniu 1 rb. 50 k.; cukier 18—20 k. funt, a czasem nawet 28 k. Funt nafty 10 kop. Walka z głodem, chłodem i nędzą bardzo prędko niszczy organizm wygnańców, śród których ogromnie się szerzy szkorbut. Na wiosnę r. z. lekarz szpitala berezowskiego zawiadomił władzę, iż szkorbut, ogromnie rozwinięty śród politycznych, nadmiernie obciąża budżet szpitalny. Latem wygnańcy najmują się do połowu ryb za 50 — 60 kop. na dobę i muszą stać w wodzie po 12 — 13 godzin. Praca w takich warunkach wywołuje reumatyzm w najostrzejszej formie. Przed wiosną wygnańcy podejmują się bardzo ciężkiej i licho płatnej roboty: rąbaniu drzewa dla parostatków (po 30, rzadko 45 — 50 kop. za sążeń). Niektórzy się zajmują polowaniem, które mogłoby być podstawą wyżywienia się, ale nadzwyczaj surowy przedstawiciel miejscowej autonomji administracyjnej gubernator von Hahman pod groźbą więzienia zabronił wszystkim wygnańcom w powiatach północnych noszenia broni bez jego pozwolenia. Ażeby zaś zdobyć to pozwolenie, trzeba otrzymać świadectwo, zaopatrzone w marki za 1 rb. 50 kop.

Nietylko wygnańcy, ale i więźniowie uskarżają

Zadaniem życia zbiorowego jest wytwarzanie warunków, najbardziej dla gatunku sprzyjających, lecz nie samego gatunku, który konkretnie musi się zawsze wyrazić w danym okazie ludzkim — w jednostce.

Jeżeli nawet warunki nazwiemy przyczyną, jednostkę zaś skutkiem, to, powołując się na istnienie dodatku X i na całe nasze powyższe rozumowanie, łatwo wywnioskujemy wrogie i nie pochodne stanowisko skutku do przyczyny.

Warunki bowiem tworzą się w czasie zwolnionym lub powstrzymanym, dla podobieństw nie dla różnic, czyli dla większości, dla „skutków" z minimalnym dodatkiem X lub bez tego dodatku, mówiąc prościej— dla rzeczy już stworzonych. Dlatego też są one w antagonizmie z *natura naturans* i ze zbliżonymi do niej okazami gatunku ludzkiego, opóźniając się w czasie, lecz za to utrwalając okazy już zdobyte i przechowując — wymierające, aby w ten sposób uobecnić przeszłość, nawiązać ją z teraźniejszością i przyszłością i ze zmiennego „potoku życia" uczynić grunt stały, tradycję samego istnienia, słowem tę — zawsze jednaką *ziemię*, na której, jako społeczeństwo, przebywamy.

Nieobecność dodatku X jest zarodkiem śmierci, jego minimum — warunkiem koniecznym rozwoju społecznego, jego zaś maximum — wstrząsnęłoby całym zgrzytliwym łańcuchem przyczyn i skutków, to znaczy: nie pomieściłoby się w przyczynowej formie myślenia przeciętnej głowy ludzkiej, która jest właściwie głową większości, *głową społeczeństwa.* Nie można go bowiem nazwać *wielogłowym*, ma ono jedną tylko głowę *człowieka przeciętnego*, którego rozwój kroczy po linji przyczynowości.

Tendencja przyczyny do imanentnego i częściowego przynajmniej przebywania w swym skutku jest niezbędnym warunkiem ciągłości i łącznicy pomiędzy przyczyną a skutkiem. W przeciwnym bowiem razie pomiędzy przyczyną a skutkiem utworzyłaby się nagła przerwa, luka, przepaść, niczym nie zapełniona i pozorne przewidywanie skutków, jako zasada *naturae naturatae*, jako podstawa jej prawa (np. karnego) stałoby się niemożliwym.

Dlatego też i tylko dlatego możemy powiedzieć, iż wszelką myśl twórczą poprzedza zawsze ten lub ów fakt w życiu zbiorowym, poprzedza w tym znaczeniu, że *zezwala* jej na powstanie w postaci *przewidzianego* skutku, mającego *już* swoją przyczynę.

Przyczyna jest tylko — zezwoleniem i kontrolą, nie zaś aktem twórczym, dzięki któremu dana idea powstaje.

(C. D. N.)

się na swoją ciężką dolę. Niedawno w taniej gazetce kijowskiej *Ogni*, (która w ciągu krótkiego czasu swego istnienia zapłaciła już 1,200 rb. kary), czytaliśmy list kobiet z więzienia Łukjanowskiego. Uskarżają się one na okrucieństwo dozorczyni, nałogowej pijaczki, byłej kucharki, która bije kobiety więzione, rzuca się na nie jak furjatka i sypie nieustannie obelżywymi słowami. List ten przedrukowały inne pisma, ale nie wywołał on żadnego wrażenia na autonomicznej administracji kijowskiej. Zresztą ktoby tam zwracał uwagę na taką drobnostkę! Są inne zjawiska więzienne, notowane przez prasę rosyjską, które grożą nietylko więźniom, ale i ludności wolnej i pomimo to również przechodzą bez wrażenia i przeciwdziałania. Oto, jak donosi *Nowoje Wremia*, a więc organ, zasługujący na uwagę biurokracji, — od jesieni r. 1908, w ciągu całego roku rosyjskie więzienia kryminalne są ogniskami tyfusu. Niema ani jednego więzienia, w którymby ta choroba nie zabrała paru dziesiątków więźniów. Ofiarą tyfusu przecież padł także gubernator ekaterynosławski, Klingenberg, który się zaraził tą chorobą przy zwiedzaniu baraku tyfusowego więzienia miejscowego. Kiedy epidemja przybrała groźne rozmiary, ministerjum sprawiedliwości, celem jej stłumienia, „kogoś gdzieś posłało, nad czemś radziło". Pomimo to, rosyjskie więzienia kryminalne w dalszym ciągu są ogniskami i rozsadnikami zarazy tyfoidalnej. W więzieniu piatyhorskim z kotłów do gotowania strawy, obliczonych na 82 ludzi, żywi się 250 osób. W szpitalu więziennym na trzech „łóżkach" („kojkach") umieszcza się po 10 — 18 ludzi. W izbie żeńskiej komisja sanitarna znalazła kobietę z syfilisem, w najwyższym stopniu rozwiniętym; do picia zaś wody był tam jeden wspólny kubek. Więzienie piatyhorskie, obliczone na 85 ludzi, posiada w swych murach zwykle najmniej 150 osób, a bywa niekiedy po 250. Wtedy więźniowie są umieszczani w lochach, w których ściany są tak brudne, że trudno je odróżnić od podłóg asfaltowych, w braku odpowiedniej liczby tapczanów, więźniowie śpią pod nimi na siennikach, napełnianych raz na pół roku słomą z nawozem. Sienniki te przed napchaniem nie są prane i przechodzą po kolei od syfilityka do gruźlicznego i tyfusowego. Ani prześcieradeł, ani ręczników niema wcale. Więźniowie wycierają się swoimi koszulami, pranymi dwa razy na miesiąc. Dwa razy na miesiąc więźniów posyłają do brudnej łaźni.

Łatwo teraz zrozumiemy, dlaczego w Rosji tak straszne szerzą się choroby epidemiczne od chwili, gdy urosła władza autonomiczna administracji. Rezultatem tej siły władzy jest przepełnienie więzień, a z chwilą tego przepełnienia rozwój w nich tyfusu, który następnie się rozpłynął po miastach i wsiach na szerokich obszarach. W najwyższym stopniu samodzielna i samowładna administracja miejscowa jest zajęta interpretacją prawa i przepisów w swój sposób właściwy, prześladowaniem „inorodców" i wszelkich opozycjonistów. Wobec takich zadań idejowych, niema czasu ani środków na uzdrowotnienie więzień i na walkę z tyfusem.

Zen. Piet.

Wyjaśnienie.

Gazety Warszawskiej nie zadowoliło moje wyjaśnienie w Nr. 38 *Prawdy* w sprawie charakterystyki namiestnika Bobrzyńskiego. Zarzuca mi ona, że pominęłem w swojej odpowiedzi jedną ważną kwestję — jak można pogodzić bezstronność rządu, która jest jego obowiązkiem, z tendencyjnym jego oddziaływaniem na ukształtowanie stronnictw w kraju.

Postaram się w krótkości dać na to odpowiedź *Gazecie Warszawskiej*.

Na czym polega i polegać powinna bezstronność rządu? Oczywiście na ścisłym przestrzeganiu ustaw wobec wszystkich obywateli, bez różnicy stanu, wyznania, narodowości i stronnictw. Rząd nie powinien nigdy nadużywać swojej władzy, nie powinien demoralizować obywateli przez przekupstwo w różnej formie. Z tego jednak nie wynika, aby rząd nie miał prawa a nawet obowiązku oddziaływania na obywateli w kierunku uznanym przez siebie za pożyteczny; aby nie wyzyskiwał swojego wpływu moralnego, aby nie mógł wchodzić w kontakty ze stronnictwami.

Żaden rząd na świecie nigdy nie może się tego wyrzec.

W Stanach Zjednoczonych A. P. prezydent prowadzi bardzo czynną politykę i jest przedstawicielem stronnictwa, które posiada władzę. Nie spełnia on roli manekina, który automatycznie wykonywa pewne szablonowe czynności, lecz jest czynnikiem w życiu publicznym, odgrywającym pierwszorzędną rolę, czynnikiem, który bierze udział w różnych dziedzinach życia. W innych państwach, w których panuje system rządów parlamentarnych, rolę taką spełnia prezes ministrów, będący zarazem faktyczną głową rządu.

Nierozumiem zupełnie, jakie państwa *Gazeta Warszawska* ma na względzie, mówiąc o „bezstronnym" rządzie w znaczeniu rządu, stojącego na uboczu od życia politycznego kraju i stronnictw. Rządów takich nie było, nie ma i nie będzie.

Wspominałem wyżej, że władza państwowa ma nawet obowiązek brania udziału w życiu politycznym. Istotnie, minęły już czasy, kiedy państwu wyznaczano rolę stróża nocnego w teorji; w życiu nigdy ono roli takiej nie odgrywało.

Jeżeli rząd widzi, że w społeczeństwie powstają stronnictwa polityczne, działalność których wywiera ujemny wpływ, to może i powinien dążyć do neutralizowania go za pomocą środków legalnych.

W postępowaniu takim niema żadnego nadużycia.

Przechodząc do stosunków galicyjskich, zauważyć należy, że narodowa demokracja przez swój szowinizm, przez ciągłe szczucie przeciwko Rusinom, utrudnia współżycie dwu narodów w kraju.

Polacy stanowią nieznaczną stosunkowo większość w Galicji, są jednak silniejsi od Rusinów politycznie, ekonomicznie i kulturalnie. Rusini domagają się nie przywilejów, lecz pewnych praw i instytucji, które Polacy już posiadają. Narodowa demokracja zwalcza te naturalne dążenia Rusinów.

Ta walka narodowościowa osłabia kraj i państwo.

Namiestnik Bobrzyński, jako naczelnik kraju, urzędnik państwowy i Polak może i powinien zwalczać legalnymi środkami narodową demokrację, co też robi istotnie.

W artykule swoim, porównywując d-r Bobrzyńskiego z jego poprzednikami, zaznaczyłem, że na ogół nie krępuje on swobód obywatelskich, że stara się usuwać nadużycia i gwałty w administracji. Są to przymioty nie do pogardzenia wogóle, zwłaszcza w Galicji.

Działalność tu d-r Bobrzyńskiego napotyka na duże przeszkody ze strony personelu urzędniczego, zdemoralizowanego rządami poprzednich namiestników. D-r Bobrzyński jest odosobniony. P. Grabski, przywódca narodowych demokratów w Galicji, chciałby, aby namiestnik ograniczał prawa obywytelskie Rusinów, aby krępował ich działalność polityczną i t. p.

Wszyscy wiedzą, że podolacy i narodowi demokraci pragną mieć namiestnikiem Galicji p. Zalewskiego, wyższego urzędnika w Wiedniu, syna byłego ministra i namiestnika.

Zalewski syn byłby powolnym narzędziem w rękach największych wsteczników podolskich i ich sojuszników. Jest to osobistość bezbarwna, gładka w stosunkach towarzyskich i nic nadto.

Kraj mógłby tylko stracić, gdyby na czele rządu w Galicji zamiast d-r Bobrzyńskiego stanął Zalewski. Dlatego też wszyscy zwolennicy postępu, swobód obywatelskich, wszyscy wrogowie podolsko-nacjonali-

stycznego wstecznictwa powinni zrozumieć, że w chwili obecnej, gwałtowne zwalczanie namiestnika Bobrzyńskiego wyjść może tylko na korzyść reakcji.

Hasło walki z rządem w Galicji, rzucone dziś przez narodową demokrację, imponować może tylko bardzo naiwnym ludziom, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że chodzi tu tylko naszym nacjonalistom o „wymianę mózgów".

Ludwik Kulczycki.

Postęp i demokratyzacja oświaty.

Punktem ciężkości każdego programu postępowego musi być polityka szkolna — zważywszy, że najsilniejszą i najtrwalszą dźwignią postępu jest nauka i oświata. Można stąd nawet wysnuć zasadę dla wszelkich stronnictw postępowych w różnych krajach, że ich stosunek do każdorazowego rządu normować się winien i przeważnie normuje odpowiednio do kierunku polityki w dziedzinie szkolnej i oświatowej. Toż samo powiedzieć można o stosunku ich do innych stronnictw i grup w kraju. Mieliśmy już sami sposobność skonstatować, że nawet najusilniejsze starania uczynienia pracy oświatowej bezpartyjną i apolityczną nie mogły zapobiedz nieuchronnym starciom między stronnictwami, gdy się one na polu tej pracy spotykały. Czy to będzie chodziło o szkoły ludowe, czy o uniwersytety, zawsze zagadnienie stawia się w ten sam sposób: czy nauka ma być celem, czy środkiem? Czy mamy ją skrępować i tamami ogroblić, czy też poprostu jej rozwój i wolny rozkwit wedle sił podniecać i podtrzymać, z kajdan i powijaków wyzwalać, aby ona nam torowała drogę do dalszych kulturalnych zdobyczy zarówno technicznych i ekonomicznych, jako i prawnych, obyczajowych, moralnych? W tak postawionym zagadnieniu mieści się cały antagonizm między wstecznictwem a postępem, t. zw. prawicą a tak zwaną lewicą polityczną. Czy walka toczyć się będzie o Kruszynek, o profesora Warnburga, czy o prof. Bernharda — kwestja jest właściwie jedna i ta sama.

Interesy postępu są tu również związane z interesami demokratyzacji. Nigdy reakcyjny rząd ani reakcyjne stronnictwo szczerze nie przyłoży ręki do demokratyzacji oświaty nawet wtedy, gdy formalnie — pod wpływem bądź to opinji publicznej, bądź tradycji kulturalnych narodu utrzymuje lub wprowadza powszechne nauczanie choćby w formie przymusu szkolnego. Jeżeli nie można już zredukować liczby ludzi do oświecenia się uprawnionych, to redukuje się do minimum zakres nauczania lub takie między różnymi typami szkół ustanawia przegrody, by uniemożliwić przelewanie się potoku wiedzy z uprzywilejowanych wyżyn w głębiny życia ludowego.

Od lat kilku słyszymy wciąż o gotowych już jakoby projektach zaprowadzenia powszechnego nauczania w Rosji, a ministerjum oświaty bynajmniej pod względem inicjatywy prawodawczej nie pozostaje w tyle poza innymi ministerjami, zarzucającymi Dumę całą lawiną projektów do praw, z którymi ona w ciągu długich lat wiekowania nie mogłaby się uporać — a cóż dopiero w ciągu pięciolecia swego istnienia. Rezultatem tej działalności reformatorskiej jest dotąd z jednej strony wyludnienie uniwersytetów, z drugiej, hojniejsze wyposażenie i otoczenie opieką szkół cerkiewno-parafialnych obok skrępowania lub skasowania wszelkich instytucji oświatowych prywatnych, zwłaszcza kursów dla analfabetów i uniwersytetów ludowych.

Wszelkie dalsze projekty, zapowiadane w prasie, biegną w tym samym kierunku. Projekt reformy szkół średnich—jak objaśnia *Riecz*—ma na celu przy pomocy oddzielenia szkół przygotowawczych od gimnazjów — takie „przesianie uczniów, aby do gimnazjów dostać się mógł tylko *właściwy* kontygens, stworzenie szkoły oddzielnej dla różnych stanów i „wyrugowanie ze szkoły średniej tego żywiołu demokratycznego, który w niej obecnie przeważa".

Mimo tak wyraźnie reakcyjnego kierunku swej polityki, pan Szwarc nie zadowolnił jednak jeszcze w zupełności prawicowego obozu, co dowodzi, że niema tak wielkiego wstecznika, któregoby już żaden inny przewyższyć nie mógł. Wobec wiadomości o jego spodziewanym ustąpieniu *Nowoje Wremia* wyraża życzenie, by na jego miejsce przyszedł mąż stanu o silniejszej ręce i położył koniec zalewowi szkoły średniej przez synów drobnych kupców, stróżów, szwajcarów, pisarzy, pocztyljonów i t. d. Chodzi więc o cofnięcie się do zasady ministra Deljanowa, który oświadczył, że gimnazja nie istnieją dla synów kucharzy.

Nieraz ubolewano nad tym, że nasze szkolnictwo prywatne nie jest dość demokratycznym, że jako prywatne zdemokratyzować się gruntownie nie może. Była w tym w zasadzie odrobina prawdy, ale nie cała prawda. Po pierwsze szkoła rządowa bez kwestji może być demokratyczną, lecz tylko tam, gdzie rząd chce demokratyczną politykę szkolną prowadzić, po drugie szkoła prywatna — przy pomocy i współudziale społeczeństwa demokratyzować się może i mimo trudności ku temu ideałowi zwolna zmierza.

Należy tu jednak zwrócić uwagę, że wyraz demokratyzacja — gdy mowa o szkole średniej trzeba opatrzyć pewnymi zastrzeżeniami. Wolny dostęp do gimnazjów i uniwersytetów dla młodzieży wszelkich klas społecznych bez różnicy pochodzenia, narodowości płci i wyznania, jest raczej postulatem postępu niż demokracji, jakkolwiek z ogólnych zasad demokratycznych logicznie i konsekwentnie wynika. Sam przez się bowiem nie podnosi on poziomu umysłowego i kulturalnego szerokich warstw i niewyrównywa tych przepaści, jakie między różnymi klasami narodu żłobią różnice wychowania i wykształcenia. Ta inteligiencja, która z ludu *wychodzi*, choćby jej zastęp był bardzo liczny, o ile bezpowrotnie opuszcza jego szeregi, o ile nie żyje wśród niego i dla niego — może specjalnie dla klasy, z której pochodzi, nie przedstawiać żadnej wartości. Jest przytym rzeczą jasną, że im niższym jest poziom kulturalny szerokich warstw, tym naturalniejszym i nieuchronnym staje się zrywanie węzłów, łączących jednostkę wykształconą z ciemnym i zacofanym środowiskiem, które ją wydało. Co więcej; możnaby postawić przypuszczenie, że samo otwarcie dostępu wszystkim klasom społecznym do wszystkich średnich i wyższych zakładów naukowych *bez równoczesnego podnoszenia oświaty powszechnej* systematycznie usuwać będzie z pośród ludu najdzielniejsze, najzdolniejsze i najlepiej uposażone jednostki, wchłaniane przez warstwy miejskiej inteligiencji.

Ciekawy fakt ilustrujący to zjawisko opisuje p. Irena Kosmowska w *Zaraniu* w artykule *„Chłopscy synowie"* We wsi galicyjskiej, Haczowie, odbył się zjazd wszystkich rozproszonych po świecie haczowiaków, którzy rodzinne gniazdo porzucili w poszukiwaniu zarobku lub wyższej nauki. Samych takich, którzy pokończyli wyższe szkoły, znalazło się na zjeździe przeszło stu. Równocześnie autorka zaznacza, że „wieś jest ludna, zamożna, ale do postępu czy to w rolnictwie, czy w oświacie, czy w sposobie życia całkiem nieskora".

Być może, że obecny zjazd poruszy cokolwiek ową zacofaną wioskę, gdyż jego uczestnicy złożyli między sobą kilka tysięcy koron na zbudowanie w niej domu ludowego, a niewątpliwie nieomieszkali także wyjaśnić jej mieszkańcom potrzebę i znaczenie tej instytucji. Nie chodzi tu jednak przecież o poszczególną wioszczynę i jej losy, lecz o dość ogólne zjawisko: „Wieś galicyjska", pisze pani I. K., „wysyła wciąż

w świat swoich najdzielniejszych nieraz synów, czy to po zarobek za morze, czy to po naukę do miast. Ci zza morza przysyłają uciułane grosze..."

..."Z tych, co po naukę do miast ciągną, to wielu drapie się zębami i pazurami do urzędu lub posady w biurze, żeby żyć sobie spokojnie, wedle miejskiego obyczaju, niektórzy rozmiłują się w nauce i ci są szczęśliwi, w pracy naukowej znajdują zadowolnienie, na inne sprawy już nie bacząc; mała garstka pali się do pracy dla ogółu przez szerzenie oświaty, przez walkę polityczną z panującą niesprawiedliwością. Do wsi oni jednak nie wracają, lub wracają nie jako synowie, ale jako przechodnie lub działacze z urzędu".

„A stara wioska wciąż czeka, by ją zastęp młodych, oświeconych synów wydźwignął z nędzy i upodlenia".

W związku z tym zjawiskiem jest i inne, dziwne i zupełnie niezrozumiałe dla ludzi, stojących zdaleka i usiłujących zagadnienia społeczne rozstrzygać nie na podstawie obserwacji, lecz logicznego rozumowania, mianowicie stałe narzekania sfer konserwatywnych galicyjskich na „hyperprodukcję inteligiencji".

Rozumie się, że w normalnie rozwijającym się społeczeństwie o tego rodzaju hyperprodukcji mowy być nie może i trudno nawet pojąć, coby takie skargi znaczyć miały. Mała Szwecja o ludności mniej licznej niż Galicja, a o połowę mniejszej od ludności Królestwa Polskiego przy 4-ch uniwersytetach, nie licząc politechnik i akademji specjalnych, przy 160 ciu szkołach średnich, nie licząc znowu specjalnych technicznych — jako żywo, na hyperprodukcję inteligiencji nie narzeka. Dzieje się to zapewne dla tego, że taż sama Szwecja ma 15,000 szkół początkowych, doskonale uposażonych i postawionych na wysokim poziomie, obok licznych uniwersytetów ludowych, jest zatym i *konsumcja*, odpowiadająca *produkcji*, jeśli się tak wyrazić można. Zapotrzebowanie dobrych sił nauczycielskich, popyt na pisma, książki, wykłady, odczyty — na wszelką pracę inteligiencką wzmaga się wraz z zanikaniem analfabetyzmu, ciemnoty, przesądów, ze wzmaganiem się potrzeb kulturalnych szerokiego ogółu. „Hyperprodukcja", na którą narzeka Galicja, jest względna i wynika z przekonania, że każdy tylko na to się uczy, aby otrzymać posadę, że zatym kraj winien tylko tylu ludzi kształcić, ilu urzędników potrzebuje. Pozostaje ona naturalnie również w związku z niskim względnie poziomem rozwoju ekonomicznego, z brakiem przemysłu i t. p.

Zamiast zatym — jak to niekiedy usiłowali suggierować konserwatyści, obmyślać sposoby utrudniania uczniom niezamożnym bądź to dostępu do szkół, bądź otrzymywania dyplomów (przez surowe stawianie stopni, jak proponowano 5 lat temu) należałoby od przeciwnego końca rozwiązywać węzeł tego zagadnienia, mianowicie zwiększyć zapotrzebowanie inteligiencji nie przez kreowanie urzędów, lecz przez podnoszenie potrzeb kulturalnych szerokich warstw. Nie twierdzę bynajmniej, że się tego w Galicji nie robi; przeciwnie, wiele faktów przemawia za tym, że zwolna lecz stale stosunki się poprawiają i prawdopodobnie też wkrótce narzekania na hyperprodukcję inteligiencji zupełnie ucichną.

U nas i o takiej względnej hyperprodukcji mówić nie można, gdyż na każdym polu istnieją braki równoległe i równoważą się znakomicie. Oświata powszechna równie smutnie się przedstawia, jak ruch umysłowy i praca naukowa; wytwórczość wiedzy jak i jej spożycie. Wszystko jest do zrobienia — i tym dotkliwiej odczuwać musimy wszystko, co hamuje robotę.

Wspomniałam, że równouprawnienie wobec średniego i wyższego wykształcenia jest raczej postulatem postępu niż demokratyzacji, w interesie bowiem postępu leży, aby kraj wyzyskał i spożytkował cały surowy materjał zdolności i energji umysłowej, tkwiący w mózgach ludzkich na rzecz wspólnego umysłowego dorobku. Gienjusz lub talent ginący w zaniedbaniu, stanowi dla niego nie mniejszą stratę, niż pokład węgla zniszczony przez powódź lub pożar. Przywilej majątku i pochodzenia jest w ogólnym rachunku sztuczną protekcją miernoty ze szkodą dla naturalnej, przez przyrodę stworzonej arystokracji — najbogatszych indywidualności, jedynego przywileju osobistego, który leży w interesie ogółu.

Bogactwo jednostki jest tu zarazem własnością narodu i przez naród winno być otoczone pieczołowitą opieką, bez względu na to, czy mieści się ono w mózgu bosonogiego pastuszka, czy wykwintnego paniczyka.

Z drugiej strony już z tego, co wyżej powiedziano, wynika, że możliwość spożytkowania tych skarbów zależną jest od ogólnego poziomu umysłowego szerokich mas. Z kraju ciemnoty i barbarzyństwa inteligiencja stale emigrować musi tak, jak emigruje od nas.

Wszystko zatym, co podnosi poziom umysłowy i kulturalny ludu wiejskiego i miejskiego, co dla niego jako dla klasy społecznej stanowi dźwignię wyzwolenia, pierwiastek siły i czynnik rzeczywistego a nie formalnego równouprawnienia — leży również w interesie postępu. Inteligiencja wytwarzająca się wśród ludu, inteligiencja chłopska i robotnicza, z jaką się już u nas spotykać zaczynamy, choć dotąd stanowi zaledwie bardzo nieliczną garstkę, przedstawia z tego punktu widzenia ogromną wartość, większą znacznie niż ta, która z ludu wychodzi, a czasem — niestety — wcale demokratyczną nie jest. Przecież nie nazwiemy demokratą każdego księdza, doktora, adwokata, urzędnika, odwracającego się plecami od klasy, z której wyszedł, a troszczącego się tylko o to, by się osobiście zrównać z kolegami i zatrzeć w nich pamięć o swym skromnym pochodzeniu.

Każda Kruszynianka, wnosząca w swe domowe otoczenie promienie oświaty i wychowująca dzieci starannie i umiejętnie, każdy uczeń Pszczelina lub Sokołówka, gospodarujący postępowo a myślący rozumnie, jest wiele cenniejszym pionierem demokratyzacji i postępu. Należy to więc uważać za objaw bardzo zdrowego instynktu naszego ludu, że o *swoje* szkoły, szkoły „prawdziwie ludowe" dba, w ich obronie murem staje, dla uczczenia Grunwaldu na ich rzecz ofiary składa. Takich szkół potrzebaby dla niego stworzyć choćby kilkadziesiąt, a prócz tego moc szkółek elementarnych, bibljotek ruchomych, kursów dla analfabetów, kół samokształcenia — i wszystkich tych dróg krążenia myśli, które z czasem znoszą przedział między ludem a inteligiencją, gdyż lud sam inteligiencją się staje.

I. Moszczeńska.

W ważnej sprawie.

Rabelais opisując współczesnego mu mieszczanina, mówi o nim, że znał on sześćdziesiąt sposobów zostania bogatym, a między tymi sześćdziesięcioma sposobami zwykła kradzież była środkiem najniewinniejszym.

Od czasów Rabelais'go do dziś, ta lista sześćdziesięciu sposobów stokrotnie się powiększyła, a gdyby znano metody gieszefciarskie polskich wydawców, to polski sposób wydawniczy umieszczonoby na czele tych wzbogacających sposobów. O tym chcemy właśnie pomówić. To, co powiemy, nie jest wynikiem żadnej ankiety pompatycznej, lecz owocem autentycznych, osobistych doświadczeń: skoro są one pouczające i mają szersze znaczenie, jest obowiązkiem publicystycznym wspaniałomyślnie podzielić się nimi z ogółem. Dużo rozprawia się słowem i pismem o lichwie, ale nikomu nie przychodzi do głowy wspomnąć o „nad-

lichwiarzach", osobliwych „nadludziach", choć są oni tuż pod okiem, uprawiając bezkarnie swój proceder od wielu lat i zdołali sobie wyrobić autorytet wielce szanownych obywateli. Do rzędu nadlichwiarzy należą polscy wydawcy i nakładcy.

Lecz termin nadlichwiarz jeszcze nie daje wyobrażenia wyczerpującego o tym osobliwym typie, są to jeszcze krzewiciele ciemnoty, znieprawiacze umysłów, ciągnący zyski ze wszystkich kalectw i ułomności duchowych i cywilizacyjnych społeczeństwa, które oni więcej obdzierają, niżeli obsługują. Odsłońmy naprzód lichwiarskie oblicze tego przezacnego typu. Na obszarze ziem polskich, przy nieoszczędnym gatunku papieru, przy nieoszczędnej ilości egzemplarzy, przy użyciu druku nieoszczędnego wymiaru, wydanie jednego arkusza druku kosztuje jedną kopiejkę. Książka, zawierająca dziesięć arkuszy druku, której egzemplarz, przy wydaniu, kosztuje 10 kop., sprzedawaną jest przeciętnie za rubla i cenę tę nauczono kupujących uważać za tanią; jest to ni mniej, ni więcej, jak 1000% zysku (wyraźnie tysiąc procent). [1])

Lecz powie ktoś: a gdzie w obrachunku figuruje honorarjum autorskie? Otóż, co się tyczy tej strony kwestji, to stwierdzić przedewszystkim trzeba, że niedawne są te czasy, kiedy zasadą wydawców było—nie opłacać honorarjum autorom, zwłaszcza, jeżeli praca autorska miała charakter naukowy, nie beletrystyczny; chyba jacyś uprzywilejowani i protegowani dostępywali zaszczytu i szczęścia być wynagradzanymi pieniężnie za swą pracę autorską.

I dziś jeszcze nie jest regułą wynagradzać autora naukowych opracowań. Gdy zaś jaki wydawca zada sobie gwałt i, przeklinając w duchu cały świat, postanowi zapłacić za drukowane rękopisy, to uważa to za ustępstwo i za dobrowolne zrzeczenie się ze świętych, przysługujących mu praw. Dzięki temu, owe wynagrodzenia najczęściej bywają tego rodzaju, że nie zwracają nawet ułamka kosztów, związanych z pracą naukową, lub mało co przekraczają ten zwrot kosztów. W wypadku opłacania honorarjów autorskich, koszty wydania jednego egzemplarza dziesięcio-arkuszowego wzrastają od 1 — 4 kop. ale wtedy i cena księgarska od dziesięcio-arkuszowej książki zaraz podskakuje na 1,10 — 1,40 rb. albo i więcej. Zauważyć jednakże w tym miejscu należy, że gdy chodzi o opracowania beletrystyczne, wówczas bywają wypłacane uprzywilejowane honorarja autorskie, za które dawniej płacono setkami, a obecnie przyzwyczajono się płacić nawet tysiącami. Honorarja te od najlepszych naukowych bywają 4 — 20 razy większe, zależnie od większej lub mniejszej wartości handlowej tego lub owego poety lub beletrysty. Nie potrzeba dodawać, że stosunek wydawcy do poety i beletrysty wyzuty jest doszczętnie z wszelkiego sentymentalnego lub idejowego kultu dla poematu, arcydzieła lub talentu tego lub owego pisarza z bożej łaski. Jest to stosunek gracza w totalizatora, który, z większym lub mniejszym znawstwem, stawia na tego lub owego wyścigowego konia, gdzie graczem jest wydawca i biegającą szkapą dany autor.

Pamiętać trzeba wreszcie, że płaci się tylko autorom żyjącym, a jest wszak cały szereg autorów, którzy byli tacy grzeczni, że ustąpili z areny, obrzydziwszy sobie pobyt pośród t. zw. niedoszłych ludzi, którzy jeszcze nie zdążyli nimi zostać i pośród t. zw. byłych ludzi, którzy już przestali nimi być. Co to szkodzi trochę zarabiać na nieboszczykach? Wprawdzie, jeszcze nie jest obowiązkiem kraść czapkę temu, komu za pół godziny mają ściąć głowę, ale chwila ta już jest bardzo bliską, kiedy takie postępowanie będzie poczytywanym za obowiązek. Ewolucja, zapoczątkowana przez mieszczaństwo, jest na tej szlachetnej drodze. Skoro teorja i praktyka złodziejstwa nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego słowa, skoro w ekonomji politycznej i w prawodawstwie pozostaje złodziejstwo nieustającą sporną kwestją, a djagnoza tylko jeszcze więcej się zagmatwała, przeto porzucimy zgłębianie tej dziedziny. Kazuistyka prawno-religijna a praktyka życiowa tak mącą pojęcie o złodziejstwie, że dotąd nie jest wiadomym, czy jest ono obowiązkiem powszechnym, czy monopolowym przywilejem wybranych, nieznoszących współzawodnictwa na tym polu.

Piszący te słowa, świadomy całej naszej rodzimej korrupcji, uważa za swój obowiązek należeć do tych, których proszą, a nie do tych, którzy proszą. Z tego tytułu może on tylko przebojem zdobywać teren dla swej ekspansji naukowej i moralnej. Będąc osamotniony w swej walce z rozzuchwalonym złem, nie zdołał on uniknąć stosunku z wydawcami. Pewna firma wydawnicza we Lwowie, skoro jej zostało zaproponowane wydanie „Studjów socjologicznych", uważała za zupełnie naturalne, ażeby jej pozwolić darmo je drukować. Na odnośną deklarację otrzymał ten wydawca odemnie odpowiedź że ja, mogę pracę podarować czytelnikom, lecz nie wydawcy, że z tego powodu zrzekam się honorarjum, ale pod warunkiem, że książka będzie tanio sprzedawana. Po tym porozumieniu firma owa tak zrozumiała moją ofiarę i taniość, że to, co go kosztuje 15 kop., sprzedaje za 60 kop., choć według umowy powinna by ściągać jedynie wyłożone koszty. Za broszurę „W kwestji kobiecej ze stanowiska antropologji" również nie uważano za właściwe wypłacić mi honorarjum, choć ta sama księgarnia rozsprzedała ją w przeciągu 7 lat ze zwykłym zyskiem.

W atmosferze takich stosunków nie może zadziwiać, że tu i owdzie niektórzy wydawcy dochodzą do takiej aberracji, że każą dopłacać autorom za łaskę wydania tego lub owego.

A jednak strona łupieżcza wydawniczych stosunków w Polsce nie stanowi największego zła. Stokroć większym złem jest to, że za niedorzecznie drogie pieniądze wydawcy krzywdzą społeczeństwo, zmuszając je czytać elaboraty, szerzące ciemnotę, nepotyzm umysłowy, papinkowatość i kalectwo duchowe. Psychologja ludzka jest tego rodzaju, że człowiek w pewnej mierze jest tym, co czyta. Trzy czwarte tego, co na rynek księgarski marnotrawnie wyrzucają wydawcy, to są kosztowne śmiecie. Znośna, lub jako tako wartościowa książka, jest rzeczą szczęśliwego trafu, a nie świadomego zamiaru, umiejętnie urzeczywistnionego. Dzieje się to z tego powodu, że wydawcę do jego zawodu nie skłania żadne upodobanie, żadne zamiłowanie literatury, żadne poczucie odpowiedzialności, z zawodem tym związane, żadna znajomość potrzeb, jakim literatura czynić powinna zadość. Jedynie żądza łupieztwa, przy akompanjamencie nieuctwa i braku wszelkich racjonalnych, miarodajnych kryterjów, skłania do zostania wydawcą i nakładcą. Dzisiejszy wydawca potrafi zostać jutrzejszym antreprenerem teatru „Variété", a pozajutrzejszym przedsiębiorcą pogrzebowym, jeżeli się dowie, że grasuje śmiertelna epidemja, krwawa rewolucja lub coś podobnego.

Nic go nie obchodzi, że naród, pozbawiony literatury naukowej, jest kalekim i przez to pozyskuje jedną podnietę więcej do częściowego wynaradawiania się.

W zachodniej Europie natrafia się na wydawców, którzy literaturze poświęcają sumy, mogące u nas uchodzić za majątki, jedynie w tym celu, ażeby uczynić zadość ambicji wydawniczej lub ukochaniu jakiegoś tematu lub zagadnienia; tacy wyszukują autorów, agitują, zamęczają ich tak długo, póki się nie podejmą

[1]) Autor, rzecz prosta, nie uwzględnia w obliczeniu swym splotu czynników spółrzędnych, jak np. ryzyko przedsiębiorcze, uwięzienie kapitału nieraz na czas bardzo długi, odtrącanie procentu za pośrednictwo w sprzedaży etc., które łącznie redukują znacznie przewidywane w teorji zyski wydawnicze (Przyp. Red.).

opracować wypieszczoną myśl wydawniczą. Nadaremnie poszukiwać ambicji, lub ofiarnego zapału dla tematów naukowych u polskiego wydawcy, którego wyróżnia zupełny brak kultury umysłowej.

Cały dowcip wydawniczy polega na tym, ażeby wyczuć, jaka pożądliwość, w danym czasie, przenika społeczeństwo, ażeby, łechtając tę pożądliwość, wymienić ją na brzęczącą monetę dla siebie. Gdy ogół opanuje dur nacjonalistyczny, wnet z gotowalni wydawniczych sypią się okolicznościowe broszury i rozprawy, gdy zapanuje dur mistyczny, powtarza się to samo i tak bez końca. Nikt nie myśli o tym, by chorą, omdlewającą duszę narodu krzepić na ciągły bój i uzdrawiać, lecz tylko o tym, ażeby aksamitnie pocałowawszy ją w czoło, wykraść jej portmonetkę, co następnie bywa roztrąbywanem, jako najdoskonalszy wyraz patrjotyzmu.

Polski wydawca, nie wierząc, jak nauka wygląda zewnętrznie i pod względem treści nie wierząc jakim postulatom i w jaki sposób musi ona w Polsce czynić zadość, nie umie odróżniać sieczki od pożywnego ziarna i nie posiada żadnego zmysłu krytycznego, któryby mu dostarczył orjentacji pod powyższym względem. To też nic dziwnego, że zdyskontowali oni polską książkę naukową, której wyrobili przez swój barbaryzm i nieuctwo opinję najdroższej i najlichszej książki. Wszyscy, którzy nie są zniewoleni przymusem szkolnym lub jakim innym przy zdobywaniu wiadomości poważnych, wcale się nie posługują polską książką, nie mogą tego robić bez szkody dla siebie i zasilają się obcymi literaturami. Dziś dużo żmudnych wysiłków trzeba będzie ponieść, ażeby przywrócić polskiej książce dobrą opinję, jaką jeszcze w 3 cim, 4-tym dziesięcioleciu ubiegłego stulecia posiadała. Jest kłamstwem utrzymywać, że nie można byłoby w polskich inteligientnych sferach znaleźć, stojących na wysokości zadania, autorów, którzy umiejętnie i ochoczo spełniliby włożone na nich zadanie. Byłoby wręcz inaczej, gdyby nie korrupcyjna atmosfera, jaką wkoło siebie roztoczyli wydawcy, smakując lepiej w uniwersalnych tandeciarzach i zrozpaczonych łapigroszach, niżeli w sumiennych pracownikach, mających poczucie godności, odpowiedzialności i obowiązku. Potrzebaby było dwuch pułków pracowników o wysokiej kulturze umysłowej, ażeby poddać rozbiorowi i opracować antydota na te sterty siana i sieczki, jakie spoczywają na półkach księgarskich, lub, niestety, już je opuściły, by grać rolę szkodnika wśród czytających rzesz.

Płytkość umysłową naszego społeczeństwa i cały szereg innych ułomności duchowych w sporej mierze zawdzięcza się wydawcom, którzy za krzewienie tego spustoszenia potrafili kazać sobie drogo zapłacić.

Wstyd i hańba!

Oburzenie, jakie wzbudzają stosunki wydawnicze w Polsce, dopiero wtedy przestaje mieć granicę, gdy sobie uprzytomnić, jaką dźwignią umysłowego odrodzenia mogłaby stać się działalność wydawnicza, przesiąknięta myślą społeczną, podporządkowana zrozumieniu potrzeb bieżącej doby, powierzona osobom, stojącym na wysokości odpowiedzialnego zadania. Zreformować książkę, to prawie zreformować czytającego człowieka. Naród żywy i czynny, pozbawiony szkół i uniwersytetów, odpowiadających odczuwanym potrzebom, mógłby śmiało je porzucić i opróżnić i zastąpić je samouctwem, czytelnictwem i wykształcić się na literaturze, przysposobionej do takich celów.

Zagłębiając się we współczesne przejawy życia zbiorowego, nie trudno dostrzec renesansowe uwertury, zapowiadające nadchodzące formy tego życia. Dziś można już wyczuć, jakimi będą przyszłe formy handlu, wytwórczości, jaką będzie organizacja obrony a także, jakie formy przybierze nauczanie. Nie daleką jest ta chwila, kiedy biurokratyczne szkoły, uniwersytety zarozumiałe, marnotrawne, niezdrowe, nie wytrzymujące krytyki, jako strupieszałe instytucje, zejdą do grobu ze swymi nadętymi gadułami — profesorami. Dzisiejsze, wadliwe jeszcze systemy nauczania, rozmaite „Extention University”, uniwersytety dla wszystkich, wolne i wędrowne, wszystko to zapowiada, że przyszłe nauczanie powróci do najlepszej, najwygodniejszej i najoszczędniejszej szkoły, jaką jest samouctwo, a szkoły i uniwersytety bez przywilejów, stojące otworem dla wszystkich, bez różnicy płci, wieku i stanu, zamienią się na korporacje doradcze, popierające samouctwo, czuwające nad udostępnianiem i korzystaniem ze zbiorów naukowych i doświadczalnych naukowych pracowni.

Chociaż tak pojęte nauczanie nie dałoby się urzeczywistnić bez rozległej swobody ruchów i bez dużych zasobów pieniężnych, to jednak, stworzenie poważnej literatury naukowej, zmierzającej do takich celów, byłoby jej urzeczywistnieniem i zbliżyłoby do tego celu.

Społeczeństwo świadome swych potrzeb oraz interesów, zdolne do samoobrony i samopomocy, zbojkotowałoby na całej linji wydawców tego autoramentu, wytworzyłoby swoje społeczne ogniska wydawnicze, gdzieby autor i czytelnik bezpośrednio po uprzednim porozumieniu się, dokonywali wymiany wzajemnych usług. Doprowadziłoby to do stanienia polskiej książki, do podniesienia jej jakości, wreszcie do przystosowania jej do rzeczywistych potrzeb zainteresowanych.

Jeżeli jednak uprzytomnić sobie, jaki nepotyzm i marazm wyróżnia wszystkie instytucje polskie, jak je defloruje każdy, kto zechce, byleby miał dosyć bezczelności i złego smaku, to trudno żywić jakiebądź optymistyczne nadzieje. Gdybyśmy te same środki pieniężne, jakie obecnie obracamy na własnoręczne szerzenie pośród siebie ciemnoty, użyli na szerzenie pośród siebie światła, to nasze odrodzenie umysłowe dawno byłoby faktem dokonanym.

Alexy Kurcyusz.

NA DOBIE.

Kabotyni.

Można być poetą własnego bólu, kiedy mu się daje szczery wyraz. Taka liryka przechodzi łatwo w umiejętność i wtedy staje się sztuką, komedją. Stąd już krok jeden do kabotynizmu, który zwodzi siebie i innych, połową twarzy bolejący i namaszczony, a drugą połową uśmiechnięty i drwiący.

Takie dwie twarze ma skrajna lewica.

Jedna z nich na zarzuty krytyki wolnomyślnej marszczy się, zacina usta, wywraca oczy w słup i wymienia tygodnie, miesiące i lata spędzone w zamknięciu i na zesłaniu. Motyw poświęceń i ofiarności starczyć ma tu za wszelką legitymację i obronę błędów programowych i taktycznych. Ale w tym samym czasie druga twarz przymyka filuternie lewe oczko i ustami p. Lukreca orzeka, że w ocenie wartości ideowej „nie może być mowy o jakimkolwiek poświęceniu, lecz tylko o spełnieniu pewnej roli społecznej. Tego zdają się nie uznawać postępowcy warszawscy. Tym męczennikom postępu wydaje się, że pracują dla idei przez poświęcenie. Tymczasem społeczeństwo nie chce jakoś uznać ich ofiarności, ani też spojrzeć bardziej przychylnym okiem na krzątanie się „garści ideowców”, zmagających się w pocie czoła z „nawałą wstecznictwa i obskurantyzmu”.

„Jest to tragiedja warszawskiego postępu” — dodaje autor z bezmyślną uciechą.

Mylicie się, panowie o podwójnym obliczu. Nie to jest tragiedją polskiego postępu, że reprezentuje *jakość*, a nie *ilość* sił społecznych, ponieważ ta *jakość* zwycięży prędzej czy później; już zwycięża...

Tragedją polskiego postępu jest wlokący się za nim i ogryzający mu pięty szpetny *kabotynizm* żywiołów skrajnych, niezdolnych dziś do innej roli, prócz taniego cynizmu, jałowej egzegiezy i kpin błazeńskich.

Przeciw wolnej myśli w Galicji.

Przed paru miesiącami zawiązała się we Lwowie *akademicka liga wolnej myśli.* Oczywiście pożądany ten objaw przyczynićby się mógł do zwichnięcia autokracji wszechwładnego kleru, w obec ludzi i inteligiencji.

Liga bowiem postanowiła sobie ważne zadania, a mianowicie kwestję rozwodów i ślubów cywilnych, wyodrębnienie fakultetów teologicznych, usunięcie przymusu wyznaniowego szkół, uzyskanie krematorjów i t. p. szereg żądań, dążących do radykalnej emancypacji człowieka z pod wpływów kleru i klerykalizmu. Po za tym Liga dała już dowód swojej żywotności, wydając w pierwszym numerze „Bibljoteki Wolnomyślnej" broszurę Bolesława Bourdona p. t. Giordano Bruno.

Poczuł niebezpieczeństwo poważne czujny zawsze *Przegląd Powszechny*, redagowany przez jezuitów i w imię katolicyzmu i narodowości (czym G. Bruno zasłużył sobie na opinię wroga polskiej narodowości?), nawołuje organizacje katolickie do walki i oporu. Organizacji takich, jak wiadomo w Galicji nie brak, a za każdą kryją się sutanny. Na uniwersytetach, jako do swoich, apeluje *Przegląd Powszechny* do klubu akademickiego we Lwowie; Polonji w Krakowie. Wśród współpracowników swoich posiada różnych świeckich profesorów i docentów uniwersytetu, może nietyle klerykalnych, co obojętnych na barwę pisma i odwracających formułę radykałów francuskich na hasło: Pas de péril à droite.

Kiedy postępowcy są zawsze bojaźliwi i nie mają odwagi zawołać Pas d'ennemis à gauche, tamten obóz mobilizuje szeregi za każdym drgnięciem wolnej myśli.

Tym razem *Przegląd* staje w obronie wydziału teologicznego, którego wpływ na świeckie wydziały uniwersytetów radby podnieść i ustalić.

Rozumiemy to doskonale. Teologja wyparta z uniwersytetów przestałaby imponować ludziom kształconym, którzy za wykształconych i inteligientnych pragną uchodzić. Myśl wolna dotąd, to poniewierany artykuł importu z Królestwa, nad którego „zdziczeniem" tak ubolewają galicyjscy jawni i zakapturzeni stańczycy.

Odklerykalizowane uniwersytety zaś mogłyby wreszcie zaprotestować poważnie przeciw tresurze myśli, która wolną myśl dziś zastępuje.

BADANIA NAUKOWE.

Jezus a historycy.

(Dokończenie).

III.

Czytając razu pewnego ewangielję Łukasza, zrobiłem spostrzeżenie, że mitolog mógłby ją nazwać *mitem o bliźniętach*, gdyż wciąż występują w niej różnego rodzaju bliźnięta ideowe, jak Jezus i Jan, Marja i Elżbieta, Józef i Zacharjasz, dwuch uczniów Jana wysłanych do Jezusa, dwuch łotrów na krzyżu, a nawet Piłat i Herod „stają się sobie przyjaciółmi". Ponieważ zajmowałem się astralistyką, czyli nauką o mitach gwiaździarskich, przeto mogłem był stawić sobie na próbę pytanie: a nuż jest tu ukryty astralny mit o bliźniętach! Narysowałem tedy zodjak. Punktem wyjścia powinno być miejsce, gdzie słońce ukazuje się 21 marca i daje babiloński a potym i żydowski moment noworoczny. W micie astralnym o bliźniętach punktem tym powinna być konstelacja Bliźniąt. Mając do czynienia z mitem słonecznym, moglibyśmy przyjąć, że Jezus jako „odrodzone słońce" narodzi się w Bliźniętach. Tu spostrzegłem, że w takim razie czas biegu słońca do Bliźniąt od Panny wyniesie dziewięć miesięcy, czyli mniej więcej tyle, ile wynosi czas brzemienności kobiety. Wtedy zauważyłem, że po jednej stronie „odrodzonego słońca" będzie konstelacja Byka, czyli chrześcijańskiego Wołu. Wystarczało więc, mając w pamięci legiendę chrześcijańską wedle Efrema lub Chryzologusa, zapytać tylko jeszcze, gdzie będzie się znajdował Osioł? Znalazłem go bez trudności w grupie gwiazd, należącej tuż obok do konstelacji Raka. Fakt ten poważnie mnie zastanowił. Nie mogłem przypuszczać, abym miał do czynienia z jakimś przypadkiem. Zresztą apelacja do „przypadków" w dziełach tak pomnikowych i tak zwartych, jak ewangielje, byłaby nie na miejscu.

Zacząłem tedy studjować ewangielję Łukasza ze stanowiska astralnego i poważyłem się na śmiałe przypuszczenie następującego rodzaju. A nuż mam tu do czynienia nie z mitem słonecznym, ale księżycowym? W takim razie po dziesięciu miesiącach *księżycowych* (okres ścisły brzemienności kobiety), licząc od konstelacji Panny, księżyc na młodziku ukaże się w gwieździe Żłób między grupą Osłów i pobliską trzodą Reem (Byk, Monokeros). Z obu stron tej astralnej trzody będą stali „pasterze", Pies Mały i Pies Duży. Panna złoży Dziecię w gwieździe Żłób z powodu braku miejsca w „katalyma", gdyż wszystkie konstelacje są zajęte przez tak zwanych w Babilonji „radzących bogów" (Diodor II, 30).

Wedle badań Bischoffa miejscem Gabrjela w zodjaku jest punkt południowy, w danym więc wypadku konstelacja Ryb. Gabrjel, jako reprezentant słońca zwrotnikowego, na przejście od Ryb do konstelacji Panny potrzebuje sześciu miesięcy. Słońce wtedy „zaćmi" Pannę, świecąc w niej. Panna dzierży w ręku kłos, główna jej gwiazda nazywa się Kłos (Spica), że zaś konstelacje zwano „domami", przeto będzie ona Domem Kłosa, czyli Domem Chleba, czyli: Beth-Lehem. Gabrjel słusznie tedy idzie do „Betleem" a droga ta wymaga sześciu miesięcy. Ponieważ zaś w dniach Paschy obchodzono tak zwany mały dzień sądny, dzień postanowień Boga co do żniw zboża, przeto Panna z dojrzewającym synem-kłosem spieszyć będzie na żniwo świata, na ów popis, aby boży chleb rzucić do kosmicznego żłobu między konstelacje Osłów i Wołu. Księżyc zaś nazywano chlebem, który się łamie na blaski.

Idąc dalej zauważyć mogłem, że istotnie młody księżyc po ośmiu dniach będzie „obrzezany" a po nowym obiegu znajdzie się „na rękach" Symeona, jednego z Bliźniąt w zodjaku żydowskim, zaś wschodząca wtedy przedsłonecznie gwiazda Gamma Bliźniąt, babilońska Sib-zi-anna (Stróż ustawiczny nieba), rzymska Anna Perenna, zwiastować będzie Nowy Rok, czyli narodzenie się nowego zbawiciela świata.

Po dwunastu latach nastąpi w Bliźniętach znowu złączenie słońca z księżycem. Księżyc na trzy dni zniknie i po trzech dniach ukaże się w „świątyni", czyli na niebie, śród konstelacji, czyli owych „radzących bogów".

Że zaś lunacje księżyca przypisano walce boga białego z czarnym, przeto idące zaraz potym „kuszenie" przez Szatana na „górze" będzie świetną apoteozą lunacji.

W ten sposób scena za sceną u Łukasza daje nam szereg związanych ze sobą zjawisk kosmicznych. „Na czele" Judei, czyli krainy „Domu Chleba" idzie Homo Pilatus, wielki Orjon, którego gwiazda Alfa nazywa się „Włócznia", zaś na czele krainy Nazira, albo

Galilei, *koła wodnego*, gdzie w zodjaku znajdują się same znaki wodne (Ryba Południowa, Wodnik, Ryby, Wieloryb, rzeka Erydanus) Skorpion, symbol wodny, w którym już dawniej dopatrywano się symbolu Heroda. Otrzymamy zatym „tetrarchje astralne".

Idąc szlakiem tych badań przekonałem się niebawem, że cała Via Dolorosa znajduje się również w gwiazdach. Odczytać ją można wśród gwiazdozbiorów, świecących jednej nocy, o jednej godzinie i minucie, oraz w tej samej kolejności, jak idą epizody ewangieliczne.

Oto właśnie wychyliła się na wschodzie konstelacja Wagi, na której ważyć się będzie, kto ma być „wyprowadzony" na niebo, Jezus czy Barabasz. W Barabaszu (u Filona aleksandryjskiego: Karabas) rozpoznałem Karnabona, czyli Wężownika, który istotnie na niebo wtedy nie wychodzi, tylko czeka pod widnokręgiem. Wtedy na księżyc, który już wypłynął, zamierza się na niebie postać, która bije z góry i przyklęka, jak rzymscy żołnierze na Ratuszu jerozolimskim. Jest to konstelacja Herkulesa, zwanego „Geniculatus", „Ingeniculatus, „Nixus", „przyklękający". Następnie plotą mu „koronę cierniową", którą symbolizuje przyległa konstelacja Korony, czyli Wieńca. Następnie prowadzi go Cyrenejczyk, Kyrenaios, czyli Bootes;dawniej rysowano tu głowę wołu, „rogatego", po hebrajsku „kerenaim", stąd greckie „Kyrenaios" a polskie „Cyrenejczyk"; później rysowano człowieka z „sierpem", stąd ów „człowiek ze wsi". Następnie prowadzą go na miejsce, które się zwie Golgota, po hebrajsku „Gulgulet", czyli czasza, najstarsze naczynie do picia, co symbolizuje konstelacja Czaszy, albo Puharu. „Nie chciał pić" z tej Czaszy, gdyż istotnie nie leży ona na ekliptyce, czyli drodze słońca i księżyca. Nad tą „Czaszą" znajduje się astralny krzyż: krzyżuje się ze sobą ekliptyka i równik niebieski Pod tym krzyżem stoi jego „matka", konstelacja Panny. Z drugiej strony stoi Magdalena, czyli po żydowsku Megaddela, czesalnica włosów, którą symbolizuje konstelacja Włosów Bereniki i dlatego Magdalenę rysują zawsze z długimi włosami. Teraz „wywyższają" go na „drzewie świata", czyli na Drodze Mlecznej, która z powodu swoich rozgałęzień tak się nazywa w całej mitologji astralnej. Z jednej strony wieszają Małego Psa, czyli mniejszego łotra, z drugiej strony Wielkiego Psa, czyli łotra większego. Łotr mniejszy, czyli Pies mały, zwraca się na mapach do Drogi Mlecznej, Pies duży z pogardą się odwraca. Następuje moment śmierci, czyli zaćmienie. Bezpośrednio potym „włócznik" przebija mu włócznią bok. Czyni to Orjon swą gwiazdą „Włócznia". Włócznia po grecku zwie się „lonche", stąd rotmistrz „lonchinos", czyli „Longinus". Wtedy konstelacja Józefa, czyli Byka, zdejmuje go rogami, dokoła płaczą Hyady i Plejady, on zaś owija w prześcieradła symbol Jezusa Baranka i składa go pod widnokrąg do grobu, w którym zaiste „nikt nigdy nie leżał".

Zważyć trzeba, że wszystkie te sceny łączą się z sobą w systemat z punktem wiosennym w Bliźniętach.

Daję tu naturalnie systemat Łukasza tylko w najgrubszych zarysach. Wszelako każdy może go sobie sprawdzić nietylko na mapach nieba, ale na samym niebie i to z największą łatwością.

Idąc dalej, zabrałem się do ewangielji Mateusza, przyjmując to, co już zrobił Dupuis, czyli ukazaną przez niego scenę narodzenia. Posługując się i w tym wypadku zodjakiem żydowskim, ustalonym przez Jeremiasa, postrzegłem, że i tu Jezus, ale jako słońce, krąży w zodjaku i że poszczególne stacje można z całą ścisłością wykazać.

Cała też historja Judasza z 30 srebrnikami ukazała mi się na niebie. Judasz, czyli Juda, to konstelacja Lwa, zaś Iskariot znaczy po hebrajsku „isz k'arieh", „człowiek jak lew". Jeżeli znajdzie się nad zachodem na wysokości 30 stopni, czyli 30 dni, czyli 30 „srebrnych", wtedy magowie mogą o 12-ej w nocy uchwycić przejście słońca przez dolny południk i ustanowić moment Nowego Roku. Już naturalnie dnia następnego ten „Judasz" jest im niepotrzebny. To też z „rozpaczy" on „zwraca" im owe „srebrne"; albowiem po 24 godzinach słońce o jeden stopień przesunie się ku następnej konstelacji, a „Lew" nie będzie świecił już na wysokości 30 stopni, tylko 29 stopni; zwróci jeden „srebrny" (argyrios). Następnego dnia będzie o północy świecił już tylko na wysokości 28 stopni, zwróci drugi „srebrny" (od „argos", „jasno świecący"). Po 30 dniach będzie świecił już na samym widnokręgu, rzuci wszystkie „srebrne", „jasno świecące" na „ziemię". Co mam począć? zapyta magów. A nam co do tego, odpowiedzą mu, ty się patrz! Zrozpaczony „Lew" idzie i wiesza się. I zaiste! po 18 godzinach, gdy słońce będzie zachodziło i gwiazdy zaczną wypływać na niebo, ujrzymy „Lwa" wiszącego na południku górnym...

— Mów, nauko, jak się nazywa ten, który „wydaje"?

A nauka odpowiada:

— Ot, np. paranatelon, czyli współbieżnik, więc gwiazda, za pomocą której mogę obliczyć przejście słońca pod widnokręgiem przez dolny południk.

— A mów ty, doświadczenie życiowe, jak się wedle twego widzenia rzeczy nazywa ten, który „wydaje"?

Doświadczenie życiowe odpowiada:

— Nazywa się szpieg, zdrajca, przedawczyk!

Takie dwie filozofje wypiastowały mit o największym zdrajcy, który rudą brodę swoją zawdzięcza niewinnej grzywie czerwonej swego totemu, czyli zwierzęcia rodowego, czyli lwa.

Idąc dalej tym torem badań, można było wytłumaczyć astralnie całą scenę Marka w „Wieczerniku" a wreszcie cudną scenę w Gethsemane. Kiedy u Łukasza księżyc przed nowiem ukazuje czarną tarczę, krwawo rąbkiem światła z jednej strony otoczoną, kiedy przechodząc przez dolny południk „przymiera" (genomenos en agonia), gdy „prasa oliwna" (geth szemen), czyli dolny południk, wyciska z niego ostatnie krople światła, a za chwilę ma on być poprowadzony do „Domu Arcykapłana", czyli „Domu Lewi" (w bliźniętach), wtedy o północy wypływa wspaniale na niebo, moment ten oznaczając, konstelacja Anioła z Kielichem, czyli Aquariusz z Amphorą.

Gwiazdy były siedzibą Dusz Bohaterów. Gdy podczas śmierci na krzyżu następuje zaćmienie, pęka zasłona babilońska blasku, stacza się z grobów gwiezdnych kamień światłości dziennej i oto z swych grobów wychodzą święci i ukazują się swoim czcicielom.

Cała dotychczasowa krytyka ewangielji, czysto analityczna, odarła te arcydzieła z wszelkiego uroku. Tymczasem za pomocą powyższej metody badań widzimy w nich arcydzieła piękna.

Jeżeli mnie tedy kto zapyta, jaki materjał wniosłem do badań nad historycznością lub niehistorycznością Jezusa, mogę odpowiedzieć tezami następującymi:

1. Ewangielje nie są, jak mniemano, kronikami, ale księgami symboliki chrześcijańskiej.

2. Wedle ewangielji Mateusza Jezus rodzi się 25 grudnia a wedle ewangielji Łukasza 25 marca, w czasie świąt Paschy. Sprzeczność jest pozorna, gdyż obie daty są datami noworocznymi, jedna późniejsza, gdy nowy rok liczono od przesilenia zimowego, druga wcześniejsza, gdy nowy rok liczono od wiosennego porównania dnia z nocą.

3. Historja „Adonisa", „Adona", czyli „Pana", którego zabija „dzik", Ares, „włócznik", „pilatus" była jedną odmianą mitu, którą zwolennicy chcieli złą-

czyć z historyczną postacią Pontiusa Pilatusa. Druga tradycja, opierająca się na micie o walkach ojców z synami (Kronos i Dzeus, Tyfon i Ozyrys etc.), chciała mit łączyć z Herodem, który także własnych synów zabijał. Dało to sprzeczność chronologiczną 10 lat, której nie umiano sobie wytłumaczyć.

4. Ślady tępienia kultu astralnego spotykamy w literaturze Ojców Kościoła. Tertullian skarży się, że chrześcijanie modlą się na widok słońca. Święty Augustyn tłumaczy, że nie należy Jezusa uważać za słońce, ale najwyżej za — słońce sprawiedliwości. Ewangielje pochodzą zatym z tych czasów, kiedy panowały w całej pełni idee astralne. Forma ich pierwotna, zwłaszcza u Łukasza i Mateusza, musiała być czysto astralna, i dopiero później przerobiono zdarzenia kosmiczne na zdarzenia ziemskie; nie można bowiem przypuścić, aby w chaos cudów i logji dało się wbudować takie systematy; raczej przypuścić można, że w te systematy wbijano potym klinami epizody o cudach i przeróżne „Słowa Pana".

Oto mniej więcej materjał, który przekładam krytyce. Zastrzegam się, że niema to nic wspólnego z „ateizmem wojującym", ani z „anarchizmem socjalnym": to jest tylko badanie i jedynie badania mogą to albo potwierdzić, albo obalić. Za jedno i za drugie będę krytyce równie wdzięczny, gdyż godzę się z przytoczonym wyżej zdaniem Kanta, iż „jest to wielką niedorzecznością oczekiwać oświecenia od rozumu, a przepisywać mu z góry, po której stronie ono oświecenie koniecznie paść powinno".

Andrzej Niemojewski.

LITERATURA i SZTUKA.

Jerzy Żuławski: **Zwycięzca**. Powieść. Kraków, Gebethner i Sp., Warszawa, Gebethner i Wolff. 1910.

Uczeni awanturnicy przybywają z ziemi na księżyc w pocisku, uprzejmie wypożyczonym autorowi przez Jul. Verna, i tu, „na srebrnym globie" dają początek nowej, karłej rasie ludzi księżycowych, szybko wpadających w niewolę własnych, arcyludzkich błędów i zbrodni i w niewolę tubylców srebrnego globu — szernów.

Po latach siedmiuset znowu ciekawy turysta odwiedza księżyc i postanawia stać się „zwycięzcą" w podwójnym znaczeniu: wyswobodzając potomków ziemi z niewoli księżyczan i z niewoli społecznej. „Zwyciężanie" to stanowi treść drugiej części trylogji, której część ostatnia ma się dopiero ukazać.

Powieść posiada swą własną treść wydarzeniową i niezbędne dla dzieła sztuki zaokrąglenie. Związek jednak materjalnej osnowy utworu z osnową pierwszej części trylogji nie jest zgoła obojętną ani dla autora, ani dla czytelnika.

Co do autora, sądzić by można, iż uległ pewnego rodzaju hypnozie, płynącej od zjaw jego własnej wyobraźni, więc pragnąłby przedłużyć swoje z nimi obcowanie. Czy jednak okoliczność ta wpłynęła dodatnio na artystyczną stronę nowego dzieła? Sądzę, że nie. Pomysł pierwotny został urzeczywistniony i zamknięty, jakże go przedłużyć? Istotnie, mimo formalnej łączności pomiędzy koncepcją wcześniejszego tworu a widziadłami, które później wyłoniły się z wyobraźni poety, między obu dziełami rozwiera się głęboka przepaść. Co stanowi istotę poematu „Na srebrnym globie", jak się dawniej zwała pierwsza część trylogji? Dzieło to oddychało surową poezją, zrodzoną w fantazji przyrodnika i filozofa, tchnęło urzekającym pięknem, emanującym ze spokojnie uśmiechniętej, zrezygnowanej melancholji, tej melancholji, która jest jakby samoobroną utajonej woli życia wobec poczucia samotności i pustki przestworów kosmicznych, wobec wszechobejmującej, nieodwołalnie chłonącej w siebie wszelkie istnienie otchłani wieczystego milczenia, wobec kroczącej cicho śmierci, cicho kroczącej śmierci światów.

Srebrny glob księżycowy umierał, jak przed nim i po nim tysiące a tysiące słońc złotych, bo żarem szalejących, i srebrnych globów, podobnych ziemi, na których bujnie pleni się życie. Pieczęć pustki, odosobnienia, końca widniała wszędzie. I w martwocie księżycowych krajobrazów, i w ruinach odwiecznej cywilizacji globu, i nawet w fizycznej i umysłowej dekadencji plemienia ludzkiego, przez kaprys kilku jednostek rzuconego na trupi świat. Dzieło wcześniejsze urzekało melancholją śmierci kosmicznej.

A nowe? Prawda, zabiegają nam co chwila drogę echa przeszłości, niegdyś nam znanej, wytwarzając odpowiednią suggiestję, przyspieszając nawiązywanie się nici zainteresowania... lecz co chwila też spotyka nas pewien zawód, stają przed nami rzeczy niespodziewane, zmuszające widza do przekształcenia już wytworzonego nastroju.

Mniejsza o drobniejsze niekonsekwencje, lecz przedewszystkim pomysł tu jest zasadniczo różny. Nie śmierć tu panuje i jej melancholja, lecz życie, rozwijające się wprawdzie w formach skarlałych, lecz co bądź kresu swego nie przeczuwające, uporczywe, a mimo wszelkie klęski i upadki, zdobywcze nawet, coraz to nowe szczerby w rozsypiskach zapełniające gwarem i ruchem. Cóż tu jest naprawdę wspólnego z dawnym „Srebrnym globem"? Co tu można uważać za dalszy ciąg? I zaciekawiać nas zaczyna nie samo to życie, ile raczej niezwykłe warunki, w których się ono nam ukazuje. Górować tu zaczyna pewnego rodzaju kosmiczny egzotyzm, skala wrażenia się obniża w porównaniu z dziełem wcześniejszym.

Trzeba to przyznać, że o ile zechcemy pozostać w tak zwężonej dziedzinie wrażeń i odczuwań, plastyczne odtworzenie faktu przyrodniczego, skojarzone z wytworami fantazji poety, ale powstającymi na tle owego faktu — trzeba przyznać, że splot taki staje się nieośledniej mocy pierwiastkiem atrakcyjnym dzieła. Bądź co bądź, tu fantazja poety święci swe najpotężniejsze tryumfy. Tu, w tej dziedzinie, uczuwać się jeszcze daje tchnienie tej kosmicznej poezji, która nas czarowała dawniej...

Księżyc, jak wiemy, w młodości swej wytworzył własny świat istot rozumnych. Natura dała im potworną w naszych oczach postać nietoperza, ale wyposażyła we władze potężniejsze i subtelniejsze niż nasze. Porozumiewają się z sobą, jak to roił Słowacki, błyskami świateł na swych czołach. Kombinacja barw im starczy, aby utrwalić myśli swe dla potomności. Cięży im wiedza olbrzymia, już odrzucana, jako zbyteczna, nie realna na umierającym globie. Lecz nie tyle pociągają księżyczanie przez to, czym są — niestety, pomijając pewne niekonsekwencje, rozpraszające iluzję, autor nie poradził sobie z *psychologją* potworów — ile przez swe koleje prastarej rasy, pamiętającej te czasy, kiedy młody, srebrny glob żył pełnym, rozkwitającym, radosnym życiem; czasy, kiedy, jak dziś na ziemi — pulsowała na nim zmiana dnia i nocy, zależna od własnego jego wirowego ruchu; i te może nawet, kiedy ziemia była dlań ogromnym, życiodajnym słońcem, wobec którego to dalsze słońce zdawało się drobną zaledwie tarczą; i te późniejsze czasy, kiedy ostygła ziemia wciąż chodziła wkoło księżyca. Wtedy mądrzy tubylcy księżycowi utrwalili na ścianach swych budowli zarysy lądów ziemskich z tych odległych epok gieologicznych, kiedy ziemia jeszcze nie miała człowieka. Cóż jest wobec takiej starożytności starożytność rodzaju ludzkiego?

Aż nadeszły czasy przeklęte. Ziemia zbuntowa-

ła się i stanęła nieruchomo nad jedną połową globu księżycowego, która wnet objęła w posiadanie śmierć, gdy odrzucone rozpędem powietrze skupiło się na drugiej, od ziemi odwróconej, dalszej połowie...

Ale cóż — księżyczanie i losy ich — to tylko epizod, posiadający znaczenie służebnicze. Jest to wróg, ciemiężący ludzi księżycowych, wróg, którego ma obalić „zwycięzca". Postać „zwycięzcy" jest tak duchowo blada i sztywna, że zaciekawiać zgoła nie może. Cała uwaga tedy skupić się musi na zabiegach drobnego ludku księżycowego. Liczne, zbyt liczne analogje do stosunków ziemskich, wywiera nieraz wrażenie pewnego pomniejszania kształtów, jakby niejakiego przedrzeźniania przez lalki spraw, które zaprzątają ludzi prawdziwych. Zostaje zaciekawienie, głęboka sympatja pierzchnąć musi. Pomysł nie wydaje się jednolitym, do końca przemyślanym, tak rozbieżne są tu punkty widzenia. Dla przykładu weźmy religję ludzi księżycowych, ich legiendy, ich dramat Chrystusa, Wbrew temu, cośmy oglądali dawniej „na srebrnym globie", kiedy karli lud, nie umiejąc objąć rzeczywistości, przekraczającej jego miarę, euhemerystycznie ją wykrzywiał, obecnie Zwycięzca—Chrystus wciela tęsknoty całych pokoleń, jest tedy efektem pewnej twórczości, nie objawem zapomnienia i racjonalistycznego niezrozumienia... Lecz na tym przykładzie najjaskrawiej uwydatnia się owo pomniejszenie, owo jakby przedrzeźnienie, o którym mówiliśmy wyżej. Patrzymy przez cały czas na Marka — zwykły, ach, jak bardzo zwykły, człowiek, na którego barki drobny ludek księżycowy włożył przez swe oczekiwanie i pożądanie ciężar, o wiele przechodzący jego siły — siły *duchowe*, przedewszystkim, czego autor, zdaje się, nie dostrzega.

A oto legienda z niego tworzy Boga, tworzy Chrystusa... Czy nie wygląda to na coś bardzo małego, odrobinę może komicznego. A zarazem — jakie jest stanowisko autora? Czy jest wolnomyślicielem, roztrącającym urojenia niekrytycznego umysłu? Może... lecz nie. Spójrzmy na *krytycyzm* księżycowy. Pozytywni mistrze nie wierzą we wzrost Marka, przewyższający zwykłą, księżycową miarę, dowodzą niezamieszkalności ziemi... Wrażenie, oczywiście, komiczne. Coś w rodzaju Twainowskiej uczonej ekspedycji pająków, co poodkrywała niestworzone dziwy... Lecz jakie to może mieć znaczenie dla autora? Czy jest to smętek z powodu omylności ludzkiej? Nie osiąga się przez puszczanie w ruch marjonetek. Czy też może pohańbienie krytycyzmu *ziemskiego*, odrzucającego na podstawie empirycznej i dajmy na to, czwarty wymiar, absoluty i t. p.? Lecz jakże wtedy będzie z Markiem, którego ubóstwiono, choć tego ani odrobinę, ani odrobinę się nie spodziewał?

I te liczne, wyraźne i świadome a krzyżujące się analogje do stosunków ziemskich, pochodzące z różnych punktów wyjścia, a dążące w kierunkach rozbieżnych, dziwny tworzą amalgamat na poły racjonalistycznej parodji, na poły mistyczno-pesymistycznych tendencji i wywierają wrażenie nadzwyczaj niekorzystne. Na tle ogólnym rozwijają się losy jednostek, losy, nie wolne od wspomnianych, a zwykle mocno, zgryźliwie pesymistycznych analogji, układają się zaś w taki sposób, plączą się w takie sytuacje, zwroty, kolizje, iż nie zawsze usprawiedliwić mogą swe psychologiczne prawdopodobieństwo... Ani uwierzyć można w erotyczne uczucie Ihezali względem olbrzyma Marka, ani się rozumie urzekający, obezwładniający wpływ szerna Awija, ani się pogodzić chce z jej niespodziewaną przewrotnością. Przeobrażenie się duchowe fanatyka, mnicha Elema, który się naraz staje wielkim inkwizytorem Dostojewskiego, posyłającym do kaźni *poznanego* Chrystusa, dokonało się tak nagle, zaskoczyło nas tak dziwnie, że spoglądamy na to podejrzliwie i nieufnie, jak na figiel profesora wyższej magji i chiromancji. Gdyby autor potrafił *stworzyć* Marka, uczynić zeń „zwycięzcę" w jego istocie wewnętrznej, rzuciłoby to odrazu odmienne światło na wszystkie te sprawy, zabiegi, wysiłki, załamania się, zdrady i t. p., usunęłoby efekty komiczne i wrażenie małości. Ale tak... Powieść Żuławskiego ma niewątpliwie dużo pierwiastków pociągających, bądź co bądź nie jest tuzinkową, lecz zalety te dotyczą raczej cech zewnętrznych... Do szczęśliwych jej momentów zaliczyć wypadnie niewątpliwie postać arcykapłana Malahudy, w chwili, gdy spełnienie odwiecznych tęsknot ludu wytwarza dziwną w sercu jego pustkę. Natchnionym był poeta, gdy kreślił tę wizję... Ihezal w pewnych chwilach staje się postacią tragiczną, gdy czuje się zgubioną i zepchniętą w otchłań.. I niejedno jeszcze się znajdzie, lecz musieliśmy mówić o wrażeniu, sprawianym przez całość, nie o szczegółach...

A. Drogoszewski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Postęp polski — określa ostatnia *Myśl Niepodległa* — ma służyć polskiej sprawie i niczemu więcej. Tylko przez należyte spełnianie swego obowiązku względem ojczyzny spełnia on swe obowiązki względem ludzkości.

Polska myśl wolna służy polskiej sprawie i niczemu więcej. Tylko przez gorliwe i rzetelne spełnianie tego swego obowiązku spełnia ona swe obowiązki względem ludzkości.

Socjalizm polski, o ile ma istnieć, może zajmować się tylko ekonomicznym, społecznym i politycznym dźwignięciem proletarjatu polskiego i nie wolno go używać do obrony kasty w rodzaju fenickich kupców.

Te proste słowa, wywołane — o czym należy pamiętać — antypolskim wybrykiem *Młota*, uległy z różnych stron dowolnej interpelacji, która wypacza ich podstawowe znaczenie.

Takowe mieści się w lapidarnej formule: gdy już obalono jeden przesąd: „polskość i katolicyzm to jedno", należy obalić i drugi, że „postęp i żydowszczyzna to jedno".

Obalanie przesądów jest wogóle najważniejszą funkcją postępu, to też bynajmniej się od niej nie uchylamy. Nie od dziś zresztą postawiliśmy sobie za zasadę stosować równą, objektywną i ścisłą miarę krytyczną do tych zjawisk życia żydowskiego, które kłócą się z ideą postępu, stanowiąc nadto szkodliwą zaporę dla narodowej i kulturalnej ewolucji kraju.

Ale stąd do hasła „antysemityzmu postępowego" bardzo jeszcze daleko. Trzebaby jakichś nadzwyczajnych wrogich wystąpień ze strony bojującego nacjonalizmu żydowskiego, jakiegoś ślepego uporu w maskowaniu własnych grzechów przy jednoczesnym bezwzględnym zwalczaniu wszelkiej *krytyki* ze strony polskiej — aby nas, wolnych myślicieli i postępowców, zmusić do zejścia z wyżyn kulturalnej tolerancji na boisko tuzinkowego antysemityzmu, skąd wielu niepowołanych sojuszników już wyciąga do nas ramiona.

Dziennik Powszechny ucieszył się przedwcześnie, przewidując, że odtąd postępowość polska pod hasłem antysemityzmu prawie że się uzgodni „z politycznymi programami innych stronnictw". Rzecz prosta, że „inne stronnictwa" radeby pod huczek rozpętanej burzy pogrzebać postęp polski, zaintonować *requiem* na jego grobie.

Płonne nadzieje!

Ze swej strony niesłusznie martwi się p. Straszewicz. *Le faux bon homme* ze *Słowa* roni krokodylową łezkę nad kulturalnym „upadkiem" postępowców.

W jakimś artykule „Słowa" powiedziałem: „sympatyzuję z wieloma poglądami postępowców". Z tego powodu p. Feliks Drużbacki pytał mnie listownie o wyjaśnienie, z jakimi to poglądami postępowców sympatyzuję? Miałem mu odpowiedzieć: postępowcy reprezentują u nas humanitarny stosunek do innych narodów, z którymi nas dzieje sprzęgły: z Litwinami, z Rusinami, z żydami. Oni przeciwdziałają, abyśmy przez rozwój niesnasek i nienawiści nie zsunęli się do poziomu hakatystów niemieckich i rosyjskich. Bronią nas od tego nicsz zęściai od tej bańby.

Dziś już nic podobnego napisać nie mogę. W ostatnich tygodniach jaskrawy, namiętny antysemityzm buchnął ze szpalt pism postępowych. Nie pomogą osłonki frazesów i ubarwienia: antysemityzm postępowców jest pospolitego gatunku — nienawiść! Wszyscy doznali wrażenia, że duch Jana Jeleńskiego pokonał i podbił rycerzy „myśli wolnej"...

Wrażenie było ułudne i nadal stojąc na placówce postępu, oddzieleni jesteśmy niezmierną otchłanią zasad i charakterów od miejsc, gdzie roją się duchy Janów Jeleńskich, pod pobłażliwym okiem nacjonalistów i klerykałów.

Owo nasze stanowisko — które niebawem uzasadnimy obszernie — nie wyklucza bynajmniej ostrego względem żydów krytycyzmu. Zupełnie słusznie *Myśl Niepodległa* i *Kurjer Poranny* pospołu z *Prawdą* wytknęły i zdemaskowały różne niechlubne fortele ze strony tych specyficznych żydowskich kosmopolityków, którzy nakryli się szyldem „socjalizmu" aby stamtąd natrząsać się swobodnie nad Polską i jej nadziejami... Tego rodzaju żywioły piętnować będziemy bezwzględnie, dalecy jednak od wszelkich krzywdzących uogólnień i od kompromisów na rzecz wulgarnie pojmowanego antysemityzmu.

* *Społeczeństwo* rzuca w ostatnim numerze „garść uwag", ilustrujących rzekome grzechy polskiej prasy postępowej w trakcie bieżącej kampanji; autor, który *notabene* nie jest Polakiem, ani postępowcem, zastanawia się bardzo poważnie nad tym, czy są „u nas (?) stronnictwa rzetelnie demokratyczne i postępowe i czy sojusz (?) z nimi nie zostaje (?) zawarty (?) z winy lewicy".

Zagadnienie brzmi dość barokowo. O żadnym takim sojuszu niema dziś i nie może być mowy. Hasło *Postępowcy łączcie się!* które padło ze szpalt *Prawdy*, nie stosuje się żadną miarą do żywiołów antypolskich i antypostępowych, które pod firmą nieprzejednanego „marksizmu" uprawiają nacjonalizm żydowski, zyskując w ostatnich czasach bardzo niechlubny rozgłos.

Skrajna lewica uznała zresztą w swoim czasie, że postęp polski jest nazbyt nikłą siłą, aby z nim wchodzić w porozumienie. Dziś, kiedy postęp polski jest potęgą, moglibyśmy odrzec z kolei, że nie chcemy łączyć się ze skrajną lewicą, ponieważ jest garścią bezsilnych i kalekich doktrynerów. W odróżnieniu jednak od tych ostatnich, nie jesteśmy czcicielami siły, lecz zasad. W imię tedy zasad odgrodziliśmy się raz na zawsze od żywiołów, kompromitujących i zdyskredytowanych moralnie i społecznie.

KRONIKA.

NIEPRAWOMYŚLNOŚĆ WARSZAWY. *Utro Rossii* podaje, że według raportów „ochrany" warszawskiej, w Warszawie liczba osób nieprawomyślych dosięga 200,000, nie licząc małoletnich i dzieci. Osób nieprawomyślnych, których nazwiska zaczynają się od litery „G" ochrana liczy około 10,000...

Pytanie: ile jest osób *prawomyślnych* w Warszawie, skoro cała ludność dorosła, płci męskiej, mieści się w rejestrach *ochrany*?

KARY PRASOWE. Redaktor gazety *Kijewskija Wiesti*, współpracownik *Prawdy*, p. Leon Radziejowski skazany został w dodze administracyjnej na 100 rb. grzywny za umieszczenie fejletonu o nauczycielach, handlujących materjałami piśmiennymi, a nadto na 200 rb. grzywny z wyroku sądu okęgowego bez udziału przysięgłych za umieszczenie w rzeczonej gazecie notatki o dyslokacji wojsk.

PORZUCANIE PRAWOSŁAWIA. Ministerjum spraw wewnętrznych zdołało obecnie zebrać szczegółowe wiadomości o wszystkich zarejestrowanych wypadkach odpadnięcia od prawosławia, jakie zdarzyły się od dn. 30 kwietnia 1905 roku.

Według danych duchownego departamentu obcych wyznań, we wspomnianym czasie przeszło na katolicyzm 233,000 osób, 168,000 w guberniach Król. Polskiego, a mniej więcej 62,000 w 9 guberniach zachodnich. Na ewangielicyzm przeszło 14,500 osób z czego 12,000 w guberniach nadbaltyckich. Na Islam przeszło 50,000, większość z nich, mianowicie 49,000 w 6-iu wschodnich guberniach Rosji europejskiej. Oprócz tego należy zanotować 3,400 przejścia na buddaizm, 400 na mozaizm oraz 150 wypadków powrotu do poganizmu wśród plemion syberyjskich.

PRASA NIEMIECKA W NIEŁASCE. Odebrano debit w państwie rosyjskim gazetom *Berliner Tageblatt* i *Frankfurter Zeitung*, z których pierwsza liczyła podobno 15,000 odbiorców w granicach Rosji. Powód represji: „wrogie stanowisko i rozpowszechnianie kłamliwych pogłosek".

SPROSTOWANIE. W Nr. (art. W Rosji — 12 wiersz od góry) zaszła pomyłka; zamiast „Ajwarowskiego" winno być Wereszczagina.

Książki nadesłane do Redakcji:

— Bibljoteka Warszawska. Treść zeszytu wrześniowego 1) Opoka (powieść), przez Kazimierza Zdziechowskiego, 2) Polityka kozacka w ostatnich latach życia Bohdana Chmielnickiego, przez Fr. Rawitę-Gawrońskiego, 3) „Wojna chocimska" Potockiego, a „Godfred" Tassa w przekładzie Kochanowskiego, przez Romana Pollaka, 4) Pamiętnik Deotymy, 5) Sztuka we Francji, przez Konrada Ostrowskiego, 6) Żydzi w Królestwie Polskim po 1831 r. przez Dawida Kandla, 7) Podróż po Guyanie angielskiej, przez Witolda Szyszłę, 8) Piśmiennictwo: Mieczysław Jarosz: „Śląsk Cieszyński", przez Wacława Dunina. Jan Gwalbert Pawlikowski: „Studjów nad Królem Duchem część pierwsza: Mistyka Słowackiego, przez Henryka Gallego. Romuald Minkiewicz: „U wiecznych wrót tęsknicy", przez A. Drogoszewskiego. Leopold Staff: „Uśmiechy godzin", przez A. D. 9) Kronika miesięczna: Jeszcze o rewizji gen. Neudhardta. Zamykanie stowarzyszeń. Samorząd miejski dla Królestwa. Prawa języka polskiego i kurje narodowe. Sprawy polskie w Prusach Wilhelm II na odsłonięciu zamku w Poznaniu. O strzały w Krakowie. Przemysł ludowy w Częstochowie. 10) Wspomnienia pozgonne: S. p. Zygmunt Gloger i ś. p. Robert Wolff, przez L. W. 11) Wiadomości naukowe, literackie i bibljograficzne.

— „Les écoles Polonaises" et leur conditions hygieniques, redigé par le D-r Eug. Piasecki. Lwów. Drukarnia Narodowa 1910 str. 93

— „Nouvelles de la Republique des Lettres" Mois de Juillet 1910. Notres critiques et bibliographiques. Paris. Bolesław Brzostowski. Ci, których znałem. Aleksander Groza, Kornel Ujejski, Władysław Ordon, str. 150 wydawnictwo „Bibljoteki Dzieł Wyborowych".

— Wiesław Mrok: „Podmiotowość a Przedmiotowość". Samojedyność. Rzeczywistość czy doznania? Próba zgody. Kraków 1910, nakładem autora str. 41.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Szech: **Na sąd was wzywam** — Cena k. 30

Jerzy Kurnatowski: **O Solidaryzmie** — „ 20

E. St. Rappaport: **Radykalizm** — „ 20

Stefanja Sempołowska: **Z dna nędzy** — „ 25

Antoni Menger: **Prawo do całkowitego wytworu pracy** — „ 75

Wydawnictwa

GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

Gabryela ZAPOLSKA

Nowość! **Śmierć Felicjana Dulskiego** Nowość!

Cena 80 kop.

Kaśka-Karjatyda

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA, WYDANIE DRUGIE

Cena rb. 1,50.

Dawniej wydane:

O czym się nie mówi. Powieść współczesna Wyd. 2-gie rb. 1 kop. 80

Sezonowa miłość. Powieść współczesna Wyd. 2 gie „ 1 „ 50

Szaleństwo. Powieść „ 1 „ 50

Wodzirej. Powieść. Wyd. 2-gie „ 1 „ 50

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wychodzi w każdy czwartek

NOWY

SZCZUTEK

Tygodnik satyryczny.

IV rok istnienia.

W Warszawie: rocznie rb. 4., półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

Za przesyłkę pocztową dopłaca się **rubla** w stosunku rocznym.

Adres Administracji: **BIURO UNGRA, Aleja Jerozoimska 78, w Warszawie.**

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.